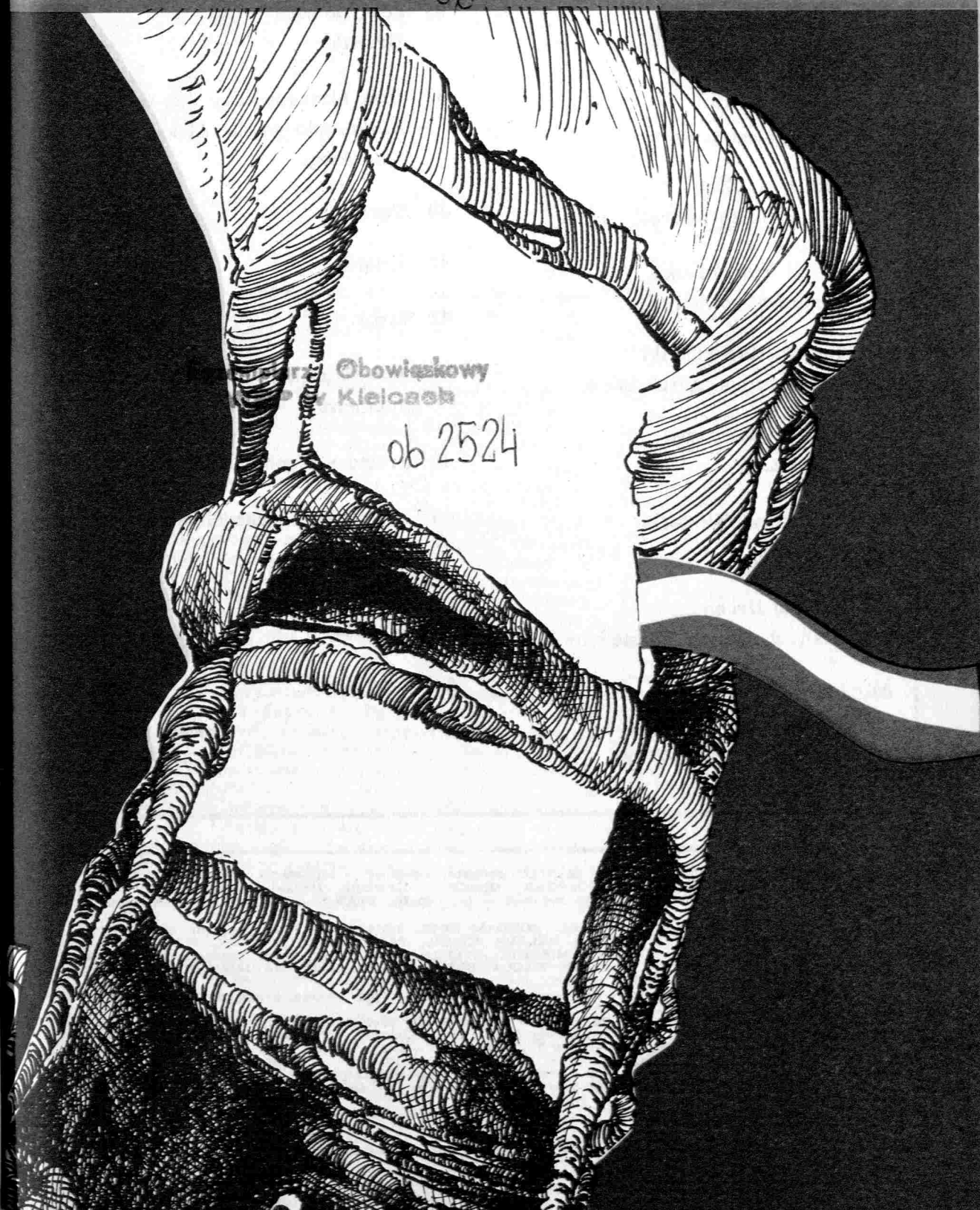


przemiany

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY



KIELCE
LIPIEC 1986



Obowiązkowy
Kielce

ob 2524

W NUMERZE:

- | | |
|---|--|
| 1 Pięć lat | 33 Józef Morton
Ucieczka |
| 5 Zbigniew Nosal
Spowiedź | 37 Dwa nieznane listy Józefa Ignacego
Kraszewskiego do Aleksandra Wie-
łopolskiego |
| 9 Tamten czwartek | 38 Teatr |
| 11 Adam A. Zych
Bogactwo to mądrość | 40 Książki |
| 13 Julita Twardowska
Nieprzystosowani | 42 Listy |
| 17 Longin Kaczanowski
W cieniu płaczących brzoź | 43 Józef Rurawski
Jubileusz |
| 20 Jadwiga Karolczak
Jest jazz! | 44 Prosto z Wąchocka |
| 24 Józef Ozga-Michalski
Wiersze | 45 Z różdżką i wahadélkiem |
| 26 Wacław Urban
„Dan w naszym miasteczku Kielce” | 46 Apteka natury |
| 29 Józef Z. Głogowski
Normandzkie spotkania
(To Poland and Victory) | 47 Kronika |
| | 48 Krzyżówka |

Okladkę projektował
TADEUSZ MAJ

przemiany

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**
ul. Śniadeckich 2
25-366 Kielce

Zespół: JERZY DANIEL (redaktor naczelny — tel. 489-91), LONGIN KACZANOWSKI, JADWIGA KAROLCZAK, URSZULA KENDRA (redaktor techniczny), ZBIGNIEW NOSAL (sekretarz redakcji — tel. 469-79), STANISŁAW RAMS, JULITA TWARDOWSKA.

Rada Redakcyjna: BOGDAN BETZ, TOMASZ GAJDA, prof. dr hab. WOJCIECH KALINOWSKI, dr HELENA KISIEL, TADEUSZ KUCHARZYK, WOJCIECH KOTASIAK, RYSZARD MIERNIK, STEFAN MŁODAWSKI, prof. MIROSŁAW NIZIURSKI, doc. dr hab. JAN PACŁAWSKI (przewodniczący), MARIAN RUMIN, IRENEUSZ SKRZYŃSKI.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kieleckie Wydawnictwo Prasowe w Kielcach. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Kielcach. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Prenumerata kwartalna — 90 zł, roczna — 360 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11.

Nakład 10.000
N-5

PL ISSN 0478-6718
Nr indeksu 37143

Pięć lat

1981

Lipiec

„W większości województw dostawy mięsa i jego przetworów oraz drobiu były niewystarczające dla pełnej realizacji kart zaopatrzenia”. (PAP)

„Wyższe emerytury dla rolników. Zasiłki macierzyńskie dla kobiet wiejskich. Projekt nowych świadczeń socjalnych dla mieszkańców wsi.” (PAP)

Sierpień

„Tegoroczne żniwa są pracowite i spokojne. Cała wieś, załogi SKR, gospodarstw państwowych i spółdzielczych, pozostałe jednostki obsługi pracowały ofiarnie w ostatnią wolną sobotę i niedzielę.”

„Nie ma w naszym społeczeństwie miejsca dla ludzi żerujących na trudnej sytuacji. Musimy czuć się odpowiedzialni za wprowadzanie w naszemu życiu elementarnego porządku”. (Apel OK FJN — PAP)

„Zaostrzenie sytuacji — zaowiedź strajków” (PAP)

„Zakłócenie rytmu pracy i spokoju społecznego w kraju. Kiedy wreszcie przemówi rozsądek?” (PAP)

„Strajk ostrzegawczy w Regionie Świętokrzyskim”

Dokonano szacunku strat jakie powstały w gospodarce narodowej w pierwszych ośmiu dniach sierpnia. W okresie tym miały miejsce strajki, manifestacje i inne akcje protestacyjne... nie wydobyło ponad 207 tys. ton węgla. W przeliczeniu na wartość eksportową pozbawiliśmy się w ten sposób 12,5 mln dolarów.” (PAP)

„Logika rozwoju wydarzeń może doprowadzić do największej narodowej tragedii”. (II plenum KC PZPR — PAP)

„Jest to przełomowy rok w nawiązaniu Rzeczypospolitej”. (Komunikat Rady Głównej Episkopatu Polski)

Wrzesień

„Socjalizmu będziemy bronić tak, jak broni się niepodległości Polski.” (Oświadczenie Biura Politycznego KC PZPR — PAP)

„Nastąpiło naruszenie zasad ekonomiki w budownictwie. W związku z wprowadzeniem wolnych sobót nominalny czas pracy zmalał o 20,2 proc., a zarobki budowlanych zwiększyły się w tym samym czasie o 30 proc.”

Październik

„Wczorajszy strajk nie przysporzył towarów. Spotęował zmęczenie”.

To nie będzie kronika wypadków. Ani zamiar formułowania historycznego zapisu. Nie ulegliśmy też pokusie komentowania faktów. Będzie to próba uchwycenia czasu między dwoma partijnymi zjazdami; pięć lat.

Jakie były — każdy oceni po swojemu, wedle własnego doświadczenia, rozumu i serca, zgadzając się przecież z nami co do jednego: były wyjątkowe. Najostrzejszy zakręt polityczny na polskiej powojennej drodze, najbardziej dotkliwy krach gospodarczy w czterdziestoleciu, największe zamieszanie w hierarchii wartości, co kiedyś nazwaliśmy w naszym piśmie kryzysem ducha. Osobiste dramaty. Klęski i zwycięstwa. Dylematy wyboru. Koniecznego.

Życie strajkowe i kolejkowe, nadzieje i zwątpienia; szok. Wszystko staje się polityką, wszak polityka nie jest, może być wszystkim. Tymczasem ta „niepolityczna” reszta skurczyła się niepomniernie, zagrażając swą małością dobremu samopoczuciu człowieka. Dobra książka staje się „towarem”. Przydziały „Trylogii” i „Encyklopedii”, renesans Rodziewiczówny i Krąszewskiego. Dla ucieczki, dla odprężenia, „ku pokrzepieniu serc”.

Rozpadanie się jednych struktur i tworzenie innych, mozolne dochodzenie do względnej równowagi, do zwiększonych przydziałów mięsa na kartki, butów bez katek i pasty do zębów bez polowania na „okazje”. Żmudne wiązanie końca z końcem. Nikt nie obiecuje, że już jutro będzie lepiej. Życie zagęszczone, nerwowe, szybkie. Tym, co się zdarzyło w ostatnim pięcioleciu, można by bez trudu obdzielić kilka pokoleń.

Zastrzegamy się raz jeszcze: będzie to zaledwie próba uchwycenia wyjątkowości i rytmu tych lat. Posłużyliśmy się w tym celu wyimkami z publicystyki, informacji i reporterskich przekazów „Słowa Ludu”, także z zamieszczanych przez nie relacji z ważnych wydarzeń, komentarzy własnych gazety i Polskiej Agencji Prasowej. Często za cały tekst dziennikarski wystarczał tytuł publikacji.

Polskie losy...

„Nasz naród spłacił już historii wszystkie niewole i niedole, wszystkie cierpienia i zniszczenia, wszystkie czyny żołnierskie i powstańcze, wszystkie emigracje polityczne i wędrówki za chlebem.” Tak powiedział Stanisław Kania I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, zamykając dwudziestego pierwszego lipca 1981 roku tamten Zjazd.

Nieuchronność polskich losów po pięciu latach, wyrażona w przedzjazdowych dokumentach: „Historia nie wybaczyłaby żyjącym dziś pokoleniom nieudolności i opóźnień w rozwiązywaniu wielkich narodowych zadań. Mamy do tego warunki”.

A więc...

„Krytyce poddano liczne przykłady ustępstw partii i władz wobec ekstremalnych sił «Solidarności», tolerowanie antysocjalistycznych działań, postaw i antysocjalistycznej propagandy.” (Sprawozdanie ze spotkania działaczy ruchu robotniczego oraz aktywny partyjnego z zakładów przemysłowych Kielecczyzny)

Listopad

„Z zapowiedzianymi dalszymi konsultacjami merytorycznymi między Wojciechem Jaruzelskim, Józefem Glępem i Lechem Wałęsą cały naród wiąże wielkie nadzieje”.

„30 tys. ton mięsa dostarczyć Polsce Związek Radziecki.”

(PAP)

„15 dzień strajku radomskiej WSI.”

„Są jeszcze szanse na oddanie 1626 mieszkań”.

„Polmetal: radzimy sobie nieźle — 23 tys. kuchni w czwartym kwartale”.

„Pracujemy ciężko, a mity o rozprężeniu na pewno nas nie dotyczą...” (Wyp. Ryszarda Krzeszewskiego z radomskiego ZNTK).

„Strajk w łubelskich szkołach”.

„W kieleckiej WSP — Jeszcze jeden strajk”.

„Społeczeństwo jest zmęczone kryzysem, kłopotami codziennymi, walką o władzę, której cenę ono właśnie płaci” (Wyp. Ryszarda Terelaka, kierowcy w zbiorowej relacji „Kto dał prawo do odebrania społeczeństwu spokoju o jutro?”).

Grudzień

„Teraz rząd ma wszystko w swoim ręku. Może wreszcie będzie mógł naprawdę rządzić”. (Wyp. Janusza Wiktora, prac. ZW „Spotem” w Kielcach w zbiorowej relacji „Głos obywateli”).

„Chyba gdzieś przed rokiem nasz zakład przestał być fabryką. Jest nią znowu od kilku dni!” (Wyp. Anny Pietrzak, technika z KZWP).

„Zapowiedziano na wigilią noc zawieszenie godziny milicyjnej”.

1982

Styczeń

„Nie powinniśmy przyjmować do PZPR «taśmowo», jak dawniej” (Wyp. Andrzeja Jagielty z Zakładów Górniczo-Hutniczych w Żębciu).

„Z ożywieniem mówili, dlaczego się tu znaleźli. Jedni zdają sobie sprawę z powodów, inni mówili wręcz, że wprosi nie wy-

obrażają sobie, aby mogli nawoływać do niepokojów społecznych w czasie stanu wojennego”. („Wśród internowanych”)

„EWG wstrzymuje dostawy żywności do Polski”. (PAP)

Luty

„Rozruchy uliczne w Gdańsku! Znowu zmartwiały nasze serca”. („Komu zależy na polskim dramacie”)

„Handlowcy i klienci uczą się nowych cen”.

„Myszę, że nie przesadził pewien emeryt mówiąc: stan wojenny nie jest stanem normalnym, a mimo to mnie się żyje normalnie”. („Wojny” blaski i cienie)

Czerwiec

„Jest pełne pokrycie artykułów żywnościowych na kartki. (...) W produkcji przemysłowej nadal regres, choć są zakłady, które pracują rytmicznie i normalnie”. (Wyp. wojewody kieleckiego).

Sierpień

„Poprawiło się zaopatrzenie w środki czystości i higieny osobistej, natomiast zaopatrzenie rynku w inne towary nieżywnościowe nie uległo poprawie” (Informacja GUS o sytuacji gospodarczej kraju w lipcu 1982 — PAP)

Wrzesień

„W dniu 31 sierpnia w trzech punktach Kielce (...) doszło do prób zorganizowania manifestacji protestacyjnej. (...) Należy stwierdzić, że przygotowywane uporczywie przez podziemie «Solidarności» za pomocą ulotek i propagandy szeptanej wrogie akcje w Kielcach nie powiodły się”.

„Ministerstwo Handlu, Wewnętrzne i Usług określiło ostateczne zasady sterowanej sprzedaży niektórych wyrobów przemysłowych. Chod. o obuwie skórzane i skóropodobne całoroczne i jesienno-zimowe, bieliznę bawełnianą, bawełnopodobną i ocieplaną oraz pończochy, skarpety i rajstopy”. („Buty, rajstopy i bielizna na talony” — PAP)

Październik

„W pierwszym dniu posiedzenia Sejm uchwalił doniesień wagi ustawy: o związkach zawodowych oraz o społeczno-zawodowych organizacjach rolników.” (PAP)

„Utarczki rozwydrzonych grup awanturników z siłami porządkowymi trwały do późnych godzin nocnych. Siły porządkowe zastosowały gazy łzawiące i armatki wodne”. („Środowe wyda-

zenia w Nowej Hucie” — PAP)

„Pozostał smutny bilans strat materialnych oraz trudnych do oszacowania dramatów osobistych i rodzinnych”. („Smutny bilans zajął w Gdańsku” — PAP)

Listopad

„Wpłynęło już ponad tysiąc wniosków o rejestrację związków zawodowych” (Komunikat Ministerstwa Sprawiedliwości)

„W grudniu wprowadzona będzie dla ogółu ludności dodatkowa jednorazowa kartka zaopatrzenia «BD» upoważniająca do zakupu 1 kg cukru, 1 kostki mydła oraz 300 g proszku do prania” (PAP)

„Od 13 grudnia ub. roku w ośrodkowej hucie ubyłoby partii kilkaset osób, m.in. wydano 125 osób a 390 skreślono, ale pozostał w niej i umocnił się robotniczy trzon: 3167 członków organizacji to robotnicy”.

Grudzień

„Zawieszenie stanu wojennego z dniem 31 grudnia 1982 roku. Posiedzenie sejmu PRL: ład społeczny, porządek publiczny i bezpieczeństwo — gwarancja wychodzenia z kryzysu” (PAP)

„Związki zawodowe wracają do zakładów pracy”. (PAP)

1983

Styczeń

„Radomskie Zakłady Przemysłu Skórzanego «Radoskór» zakończyły miniony rok korzystnym bilansem. W planach zakładu wykonanie 6 mln 900 tys. par butów z przeznaczeniem na rynek krajowy i eksport... zadanie przekroczono. Nadwyżka wyniosła ponad 300 tys. par.”

Luty

„Partia na Kielecczyźnie, licząca obecnie prawie 78 tys. członków i kandydatów, mimo zmniejszenia swoich szeregów o 10.009 osób, z trudnego okresu wyszła obronną ręką”.

Marzec

„Kielecki «DK» otrzymał 8310 egz. «Łalki» Prusa, 6150 egz. «Łatarnika» 11.650 egz. «Łuc bezdomnych», 3170 egz. «Łesnych roślin zielarskich» Polaków kiel. I wszystko to zniknęło niemal błyskawicznie.”

Lipiec

„Z obrad Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zniesienie stanu wojennego na całym terytorium Polski. Ustawy: o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewidywania kryzysu

społeczno-ekonomicznego; o amnestii." (PAP)

"Czas podać sobie ręce, żyć w zgodzie, dobro socjalistycznej ojczyzny uznać za wspólne, jedyne i najwyższe." (Z przemówienia sejmowego W. Jaruzelskiego).

Wrzesień

"Nieudany «bojkot prasy». Podziemie może do rachunku porażek dopisać wyniki ogłoszonego przez siebie na środę tzw. bojkotu prasy. W całym kraju odbywała się normalna sprzedaż gazet i czasopism." (PAP)

"W sierpniu br. lepsze było zaopatrzenie rynku m.in. w jaja, tłuszcze roślinne, mleko, twarogi, owoce i warzywa. (...) Utrzymywały się niedobory wielu wyrobów przemysłowych, zwłaszcza przemysłu lekkiego i artykułów trwałego użytku." (PAP)

"Ujawnienie się grupy członków nielegalnej «Solidarności»." (PAP)

"Od 1 października br. wszyscy, którzy wynajmują mieszkania kwaterekowe, płacą podwyższone czynsze, przy stawce podstawowej za 1 m kw. powierzchni — 6 zł."

Październik

"Brak środków na zakup ropy i paliw w II obszarze płatniczym przy jednocześnie szybko rosnącej liczbie prywatnych samochodów wymaga przejściowego ograniczenia sprzedaży benzyn silnikowych w okresie IV kwartału br. oraz I kwartału 1984." (PAP)

"Partia na Kielecczyźnie zachowała swój robotniczy trzon. W ostatnim, trudnym okresie przybyło 1902 kandydatów. Zdecydowana większość przyjętych to robotnicy, wśród nich połowa to ludzie młodzi — do trzydziestego roku życia." (Z plenum KW PZPR w Kielcach).

"W fabrykach przerzedzone załogi. W sklepach za mało sprzedawców. W szpitalach brakuje pielęgniarek. Wszędzie trudno o sprzątaczkę. Gdzie są ludzie do roboty?"

"Mija pierwszy tydzień konsultacji ze społeczeństwem proponowanych podwyżek cen żywności oraz wyrównania jej skutków. (...) Spośród dotychczasowych głosów częściej była przeciwna podwyżkom."

Grudzień

"Partia w dalszym ciągu nie umie słuchać robotniczego głosu. Rzeczywistość jest taka, że kosztom ucziwych bogaci się wielu prywatniarzy i cwaniaków. Ci nie liczą się z pieniędzmi, nie ponoszą skutków wychodzenia z kry-

zysu. Jak w tych warunkach budować socjalizm? Najpierw walczmy z odradzającym się drobnym kapitalizmem, ze zjawiskami patologii społecznej." (Emil Borkowski, robotnik z „Przedm-Mesko” w Skarżysku w dyskusji na plenum KW PZPR w Kielcach)

"W Radomiu m.in. ujawniła się ośmioosobowa grupa pracowników miejscowych Zakładów Metalowych, którzy w okresie stanu wojennego i po jego zakończeniu w swym miejscu pracy kolportowali nielegalne ulotki i wydawnictwa..." (PAP)

"Zgodnie z decyzją przewodniczącego Komitetu Obrony Kraju wznowiły swą działalność wojskowe grupy operacyjne. Od 6 bm. grupy kontrolne dowodzone przez oficerów ludowego Wojska Polskiego, wspólnie z przedstawicielami cywilnych organów kontrolnych działają również w miastach i gminach województw kieleckiego i radomskiego."

"Biuro Prasowe Rządu zostało upoważnione do przypomnienia, że w pełni zachowuje moc obowiązujące pismo okólnie prezesa Rady Ministrów z zakazem zalecania druku i rozsyłania przez urzędy, instytucje oraz zakłady pracy życzeń świąteczno-noworocznych." (PAP)

1984

Styczeń

"Prawdą jest, że w ciągu ostatnich dwu i pół lat wojewódzka organizacja partyjna zmniejszyła się o około 12 tys. osób, licząc skreślenia, wydalenia, wyjazdy na inny teren, zgony, a także przypadki rezygnacji, bo i takie się zdarzały." (Rozmowa z Marianem Surmą, sekretarzem KW PZPR w Kielcach)

"Od sierpnia 1982 roku notujemy systematyczny wzrost produkcji globalnej, wyprzedzający tempo krajowe o około 2 proc." (Z referatu I sekretarza KW PZPR w Kielcach — Macieja Lubezyńskiego na Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR).

Luty

"Na 40-lecie Polski Ludowej, w Roku Żeromskiego — w Kielcach powstał Oddział Związku Literatów Polskich."

"W 1983 r. na rynek radomski trafiło około 7 proc. towarów więcej."

Kwiecień

"Młodzi kandydaci partii podzielili się refleksjami dotyczącymi motywów wstąpienia do

PZPR, wśród których przeważały troska o socjalistyczną ojczyznę, lepsze słuźenie młodemu pokoleniu, poszukiwanie dróg wyjścia z kryzysu ekonomicznego i moralnego."

Maj

"Trwają prace nad wydaniem «Dzieł wszystkich» Jana Kochanowskiego." (PAP)

"Brak papieru stawia pod znakiem zapytania tegoroczne plany edytorskie wydawnictw książkowych, nie mówiąc już o tym, że nadal sukcesem będzie zakup kopert, papeterii, odpowiednich zeszytów, papieru toaletowego."

"W czerwcu cała ludność uprawniona do kart zaopatrzenia otrzymała dodatkowo 250 g masła." (Komunikat MHWiU)

Lipiec

"Mając na uwadze postępującą normalizację życia społecznego oraz umacnianie się państwa (...), w celu stworzenia możliwości włączenia się do czynnego udziału w życiu kraju obywateli, którzy dopuścili się przestępstw z powodów politycznych oraz innych mniej groźnych przestępstw i wykroczeń" (...) (Ustawa o amnestii z dnia 21 lipca)

"W I półroczu br. następowała dalsza stabilizacja na rynku wewnętrznym, zwłaszcza w zakresie artykułów spożywczych. (...) Nadal niewystarczająca była podaż niektórych wyrobów przemysłu lekkiego, zwłaszcza odzieży i bielizny oraz artykułów trwałego użytku." (Komunikat WUS o sytuacji gospodarczej woj. kieleckiego w I półroczu 1984 roku)

Październik

"Zwlekać dłużej ze zniesieniem reglamentacji nie można ze względów społecznych i nie trzeba dla żadnych racji ekonomicznych. Poza zasięgiem tezy o bezzasadności dalszego utrzymywania kartek pozostaje tylko mięso." (Interpress)

Listopad

"Uważamy, że niedostatecznie wyzwalane są rezerwy tkwiące w potencjale ludzkim i materialnym naszej gospodarki. Wyrazem tego są liczne przejawy niegospodarności, marnotrawstwa, złej organizacji pracy i produkcji." ("Dokumenty i Zgromadzenia Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych")

"Dobiega końca śledztwo o zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki." (Konferencja min. J. Urbana)

Grudzień

„Wybory do Sejmu zamkną okres wychodzenia z kryzysu i otworzą nowy rozdział rozwoju socjalistycznej Polski.” (PAP)

1985

Styczeń

„Początek 1985 roku zaczął się w życiu publicznym obywateli naszego kraju zainicjowaniem nader ważnej dyskusji nad zasadami nowej ordynacji wyborczej do Sejmu PRL.”

Marzec

„Komunikat w sprawie podwyżek cen, ograniczenia reglamentacji i częściowego wyrównania skutków tych podwyżek (...) W pierwszym etapie, 4 marca br., wprowadza się zmiany cen maki i przetworów zbożowych, a także chleba... Jednocześnie... znosi się reglamentację sprzedaży maki i przetworów zbożowych (z wyjątkiem kaszy manny)...” (PAP)

„Utrwalając pozytywne tendencje wzrostu produkcji przemysłowej, musimy krytycznie spojrzeć na relacje płac w stosunku do przyrostu produkcji. W 1984 roku były bowiem nieprawidłowe. Płace wzrosły o 14 proc., a wydajność zaledwie o 4,6 proc.” (Z referatu I sekretarza KW PZPR — Bogdana Prusa na Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczej PZPR)

Kwiecień

„Mieszkańcy Kielecczyny wykonali w ubiegłym roku prace społeczne ocenione na ponad 1,5 mld zł.”

Maj

„Mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, zimna i ciągłych opadów, w pochodach i pierwszomajowych manifestacjach na Kielecczynie uczestniczyło łącznie ponad 200 tysięcy osób.”

„Trwa zbiórka pieniędzy na budowę mauzoleum w Michniewie. Do tej pory zebrano blisko 6 mln zł.”

Lipiec

„Dziś początek ogólnokrajowej kontroli Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. Ocena prawidłowości przydziału mieszkań.” (PAP)

Sierpień

„Trwają obytejskie spotkania konsultacyjne z kandydatami na posłów do Sejmu PRL. Do 23 sierpnia wyborcy spotkali się z kandydatami 43 razy. Ogółem

zaś spotkań konsultacyjnych odbędzie się w woj. kieleckim 115.”

Wrzesień

„Jakie były wczasy? Drogo! Bez luksusów. Zdani tylko na siebie.”

Październik

„Okręgowe Komisje Wyborcze zakończyły obliczanie głosów. Z list okręgowych głosowało około 78,8 proc. uprawnionych.” (PAP)

„Liczba rodzin, uzyskujących tzw. niskie dochody zmniejszyła się o 600 tysięcy. Dochody realne w gospodarstwach emerytów i rencistów wzrosły od zeszłego roku o 1 proc., w gospodarstwach pracowniczych o 4 proc., zaś w chłopskich aż o 10 proc.” (KAR)

Listopad

„Finisz roku. 3170 tys. par butów dziecięcych z «Fosko».”

Grudzień

„Biuro Polityczne zwraca się do wszystkich członków partii, do całego społeczeństwa — o powszechne poparcie działań na rzecz oszczędnego gospodarowania, przeciwdziałania marnotrawstwu i rozrzutności...” (PAP)

1986

Styczeń

„Województwo kieleckie zalicza się do najuboższych w wodę regionów kraju. Na jednego mieszkańca przypada rocznie 900 m sześć. wody, podczas gdy w kraju wskaźnik ten sięga 1800 m sześć. (...) Na budowę wodociągów na wsi — w latach 1986—1990 przeznaczona jest 1,5 mld zł.” (Próg wodny w ocenie radnych kieleckiej WRN).

„Po dwóch latach realizacji uchwały możemy stwierdzić, że w polityce kadrowej w województwie nastąpiły korzystne przewartościowania. (...) Szczególną uwagę zwrócono na właściwy dobór kadr w aparacie partyjnym, organach kontroli, MO i SB, w sądownictwie i prokuraturze. (...) Wyeliminowano krytykowaną przez społeczeństwo tzw. karuzelę kadrową.” (Z referatu wygłoszonego przez I sekretarza instancji wojewódzkiej Macieja Lubczyńskiego na plenum KW PZPR w Kielcach)

Luty

„Kto zyska, a kto straci? Wyplaty od 20 marca. Podwyżki emerytur i rent w 1986 r.” (Wywiad z prezesem ZUS).

„... Wszyscy jesteście zwolennikami poprawy, odnowy i reformy tyle, że oczekujemy, iż ktoś to za nas zrobi...” (Henryk Michalikiewicz z Jędrzejowa w wywiadzie)

Kwiecień

„Jeśli mi czegoś brakuje, to tej powszechnej aktywności członków partii, także codziennej, a nie kampanijnej. Było nie było jest nas w końcu ponad dwa miliony. W moim odczuciu zbyt wielu towarzyszy przejawia swoją aktywność tylko na zebraniach...” (Z wypowiedzi Marianny Kawatek z Lipska)

„Średni cykl budowy bloku mieszkalnego w minionym roku wyniósł 509 dni, gdy tymczasem w 1984 — 403 dni” (Z posiedzenia Woj. Zespołu Poselskiego w Radomiu)

Maj

„W pochodach i wiecach pierwszomajowych na Kielecczynie uczestniczyło około 260 tysięcy osób, natomiast w województwie radomskim 213 tysięcy mieszkańców miast i wsi.”

„... W I kwartale br. zarysował się w porównaniu z ubiegłym rokiem dalszy spadek przestępczości. Dla przykładu w I kwartale 1985 r. wszczęto nieco ponad 2800 postępowań przygotowawczych, a w tym roku — 2500, przy wzroście wykrywalności sprawców z 78,8 procent w ubiegłym roku do 85,4 procent w br.” (Z rozmowy z szefem WUSW w Kielcach płk. Józefem Dolakiem)

„W dyskusji nad projektem programu partii i tezami zjazdowymi uczestniczyło ponad 41 tysięcy bezpartyjnych. Włączyli się członkowie ZSL, SD i innych organizacji społecznych.” (Z referatu sekretarza KW — Tadeusza Świerczyńskiego na plenum KW PZPR w Kielcach)

Czerwiec

„W woj. radomskim swoje wyroby eksportowało 69 przedsiębiorstw do 52 krajów. Wartość wysłanych towarów przekroczyła 3,7 mld zł i była o 59 proc. wyższa niż w I kw. ub. roku.”

Opracowali:

JADWIGA KAROLCZAK
ZBIGNIEW NOSAL

PS. Cytaty, przy których nie podano źródła, pochodzą z własnych materiałów redakcyjnych „SL”.

Rozmowa z JOZEFEM MORTONEM, w siedemdziesięciopięcioletcie urodzin



JOZEF MORTON: — Twórczość musi być spontaniczna, jest spontaniczna. Dzieło samo się wylewa z człowieka...

Fot. ERAZM CIOŁEK

SPOWIEDŹ

„PRZEMIANY”: — Początki pańskiej twórczości najczęściej kojarzy się z głośną, wydaną w 1937 roku, a więc prawie pół wieku temu „Spowiedzią”. Znajduje się tam taki fragment: „Spowiedź ta — do której przystępuję chcąc — pozostawić po sobie ślad,

coś w rodzaju dowodu, że i ja zaliczałem się do żyjących i walczących o swój byt — to moja prawda. To niczym nie zafalszowany rzut oka na wiele przeszłych i obecnych momentów mojego życia...” Gdybym więc zaproponował

przeistoczyć tę rozmowę w podobną, tym razem już nie spowiedź Stefana Okoła, bohatera powieści, ale jej autora, prosząc o dokonanie owego „rzutu oka” na sprawy przeszłe i obecne pańskiego życia, od czego chciałby pan zacząć?

JÓZEF MORTON: — Od początku. Opowiem panu rzecz, której jeszcze nigdy nikomu nie mówiłem. Moje wchodzenie w literaturę, nieświadome zupełnie wchodzenie w literaturę, zaczęło się chyba jeszcze w latach chłopięcych. Byłem wtedy może ośmioletnim chłopcem i miałem, proszę pana sen. Sen, który szedł za mną przez całe życie i przypomniał mi się niejako, uzmysłowił już po wydaniu „Mojego drugiego ożenku”.

W tym śnie stałem u podnóża jakichś wysokich, potężnych gór i nagle, kiedy się odwróciłem w bok, zobaczyłem stojącego przy mnie katarzyniarza. Miał wróżby i kolorową papugę, której powiedział, żeby wybrała dla tego kawalera, czyli dla mnie, los. Wysunął szufladkę, w której były zawinięte w bibułki pakietki. Papuga wybrała jeden z tych pakietków, katarzyniarz podał go mnie. Odwinąłem bibułkę i zobaczyłem w środku... gęsie pióro. Zobaczyłem je i powiedziałem do katarzyniarza wskazując na górę: „Ale ja tam chcę być na górze, na szczycie”.

Ten sen zakodował się w mojej pamięci tak głęboko i ujawnił dopiero po wielu latach, przypomniał. Dziwna sprawa.

Dużo w dzieciństwie czytałem, bardzo dużo, a będąc w pińczowskim gimnazjum zacząłem już pisać drobne rzeczy i kiedy koledzy podpatrzyli mnie, przewalili „literatem”, zaś kiedy na maturze zapytał mnie dyrektor, czym ja się odwiedzczę wsi, z której wyrosłem, co będę robił dla tej wsi? — powiedziałem: „Będę pisał książki”.

Uśmiechnął się pod nosem, trochę ironicznie i znowu: „A jakie to będą książki?”

Powiadam: „Będę pisał prawdę o wsi, o chłopach”. No i zacząłem pisać.

Jeszcze przed wojkiem napisałem małą komedijkę i

większą sztukę o tematyce wiejskiej. Posłałem ją do krakowskiego teatru. Zwrócili mi ją ładnie oprawioną, ale nie chcieli wystawić. Radzili próbować gdzie indziej, ale nigdzie już tekstu nie wysłałem i potem egzemplarz gdzieś zginął. Nie ma po tej sztuce śladu.

Znalazłem się w kieleckiej podchorążówce. W Kielcach też, w 1932 roku, debiutowałem krótkim opowiadaniem na łamach „Gazety Kieleckiej”. Było to napisane na podstawie opowieści mojego ojca opowiadanko pod tytułem „Pod-słuchane”. To historia, która się dzieje tuż przed wybuchem I wojny światowej, w Chrobrzu. Pewna dziewczyna służąca u jakiegoś pana, którego nazywano czarownikiem i który czytał podobno rzekome czarodziejskie książki, opowiadała chłopom, że w tych książkach znalazł on wiadomość o szybkim wybuchu wojny, po której Polska będzie „sama w sobie”, wolna, ale wkrótce znów będzie wojna i Polska znów straci niepodległość...

Redaktorzy nie podpisali nawet tego dobrego opowiadania moim nazwiskiem, samymi jedynie inicjałami — J.M. I wie pan, początek tego opowiadania wiąże się z moją ostatnią książką, z „Całopaleniem”.

Potem była pierwsza powieść, właśnie „Spowiedź”. Jej bohater Stefan Okół otrzymał nazwisko od mego olkuskiego przyjaciela malarza — Stefana Sokołowskiego, który pracował ze mną w tamtejszym Urzędzie Skarbowym, gdzie byłem dobrym ponoć rachmistrzem.

Pisanie... Pisanie szło za mną bez przerwy. W Olkuszu wydałem własnym kosztem tomik wierszy „Twarze spoza mroku”, okładkę robił właśnie Sokołowski. Wierszy już później nie pisałem, zawiad-

neła mną proza. Może i trochę załuje.

„Spowiedź” zaczęła się od małej nowelki, która potem się rozrosła. Wszystko, co tam napisałem jest fikcją, poza nazwą wsi podobną do mojego rodzinnego Chrobrza i skrótem nazwiska przyjaciela, jego imieniem. To była bardzo bolesna fikcja, „Bolesnym krzykiem wsi” nazwał ją Hubert Roźnowski. Uciekłem z Olkusza, zacząłem studia w Warszawie i pisałem, pisałem, pisałem, chciałem wywalić z siebie wszystko, co we mnie kipiało. Napisałem „Wawrzka, syna Wawrzyńca”. Powieść ukazała się tuż przed wybuchem wojny...

„P.”: — Właśnie — wojna, lata, które staną się później kanwą pańskiej znakomitej powieści „Apasionata”. Nie pisze pan wspomnień?

J.M.: — Nie, nie piszę i nigdy na wspomnienia nie miałem ochoty. Nie będę się wybebeszał. Będąc szczerym i uczciwym w stosunku do samego siebie, musiałbym opisywać wszystko... A po co? Po co będę pisał o rzeczach dobrych i złych, przyjemnych i przykrych jakie mnie spotkały? To mojej twórczości nie wzbogaci. Co przeżyłem, niech idzie razem ze mną. Dla ludzi zostają książki. Zostawmy plotki plotkom. Słowo powiedziane uleci, a co napiszesz nie wyrąbiesz siekierą.

Wojnę przeżyłem w Warszawie, ale ciągle zaglądałem na wieś, zbierałem materiały, pisałem. Handlowałem trochę, to była konieczność życiowa. Znałem pewnego warszawskiego krytyka z przedwojennego „Czasu”, w którym debiutowałem „Klimkowymi tamami”, nazywał się Korzeniowski, dostarczał mi płótno, materiały ubraniowe z fabryki swojej rodziny, czy znajomych, woziliłem to na wieś, sprzedawa-

lem. Było z czego żyć. Zajmowałem się też fotografowaniem, robiłem ludziom zdjęcia przy różnych okazjach lub do kennkart, płacili czym kto miał — mąką, kaszą.

Należałem do Armii Ludowej i do Pepeeru. Byłem trochę w lesie, przysięgę na wierność partii tam właśnie składałem. Zajmowałem się partyzancką aprowizacją. Niemcy za mną chodzili, szukali mnie, bo zostałem zdradzony przez pewnych ludzi z Chrobrza, że należę do — jak to wtedy mówili — komunistów. Dowiedziałem się o tym dzięki Gilowi, który przesłał matce wiadomość z więzienia, że o mnie pytają w Busku na gestapo. Moim przyjacielem i zarazem ideowym nauczycielem był Franek Kucybała, „Stary” z Wojsławic...

„P.”: — Czy to właśnie on występuje w „Wielkich dniach” i „Całopaleniu”?

J.M.: — „Stary Franek” występuje wszędzie, we wszystkich moich książkach, których fabuła dotyczy wojny, okupacji. To były jednak czasy „Starego Franka”. Miałem do niego dużo szacunku. To był człowiek prosty, ale bardzo inteligentny, bardzo mądry i przede wszystkim bardzo uczciwy. Miałem też w wojnę kontakt z radzieckimi partyzantami. Pewnego rosyjskiego lekarza szmuglowałem z Warszawy do Warki, do jednej kobiety w Biskupicach, która miała kontakt z partyzantką.

„P.”: — W czasie wojny napisał pan dwie książki, wydane w 1946 roku „Inkluzowe wiano” i „Człowieka z gliny”, powieść która jednak nigdy nie zobaczyła dziennego światła, poza jednym fragmentem opublikowanym w piśmie „Chłopi”. Dlaczego?

J.M.: — Mam tę książkę. Leży nie dokończona, bo nie jestem z niej zadowolony. Nie podoba mi się, sam się dzi-

wię, że obok „Inkluzowego wiana” mogłem coś takiego napisać. Bohaterem jest człowiek, który miał zostać księdzem, ale kobiety zawróciły mu w głowie i duchownym nie został. Człowiek z gliny... Człowiek, który sam nie wie czego chce, nie ma własnego ja. Człowiek miękki, zagubiony. Nie, nie mam do tej książki serca. Być może ciężar czasu zawinił, groza wojennego czasu, że jest to taka wykoślawiona książka...

„P.”: — A co było po wojnie?

J.M.: — Po wojnie prosto z lasu poszedłem do Pińczowa organizować starostwo. Byłem tam na początku wszystkim, w jednej osobie. Nie chcieli ludzie w starostwie pracować. Bali się mających przyjść do Polski Anglików. NSZ-owcy wydali wtedy na mnie wyrok, ale jakoś go nie wykonali.

Przeniósłem się do Kielc, gdzie zostałem redaktorem naczelnym „Gazety Kieleckiej”, z której odeszli starzy ramole. Poszukałem na ich miejsce innych ludzi, zmieniłem tytuł na „Dziennik Kielecki” i przeniósłem redakcję do Radomia, gdzie były linotypy. W kilka tygodni później przeniósłem się zresztą do Warszawy, robiłem tam „Chłopską Drogę”, pismo, które całe wymyśliłem począwszy od tytułu, po rubrykę „Zięba ma głos”. Później różnie, pamięta pan — współredagowałem „Ziemię Kielecką”, byłem kierownikiem muzeum Jana Kochanowskiego w Czatnolesie...

„P.”: — Owe zaraz po wojenne lata na wsi znalazły swoje odbicie w „Moim drugim ożenku”, uznanym przez krytykę (Z. Macużanka) za „przełom w drodze twórczej Józefa Mortona”. Pan też tak sądzi?

J.M.: — Może... „Mój drugi ożenek” oparty jest na bardzo konkretnej sprawie i dotyczy samotności człowieka... U-

cieczki przed samotnością... Widziałem, jak po śmierci mojej matki, ojciec, człowiek przecież jeszcze młody, został sam. Jak się męczył tą samotnością. Powieść nie dotyczy jednak ojca, dotyczy tylko podobnej do jego sytuacji, a w jej tle istotnie mamy powojenną wieś.

„P.”: — Pańskie-później-sze powieści skłaniały krytykę do najrozmaitszych porównań — „Ucieczkę z raju” porównywano do „Zbrodni i kary”, „Wielkie kochanie” do „Chama” Elizy Orzeszkowej, a „Apassionata” do losu Antygony. Czy zatem „Kamille” czyli spowiedź dziewczęcia — charakterystyczne w pańskich powieściach te spowiedzi — można by porównać do książki Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skirolawkach”? To przecież u pana pierwszego pojawiła się ta wieś, w której dominuje pochłaniająca wszystko, wszechobecny seks...

J.M.: — Tak. „Apassionata” jest w pewnym sensie nawiązaniem do Antygony, to książka, która jest rozwiniętym później, a napisanym tuż po wojnie opowiadaniem pod tytułem „Irena”. To była „Apassionata” zamknięta w kropli wody. Ta nowela chodziła za mną dwadzieścia osiem lat i nie dawała spokoju. Wreszcie do niej wróciłem i zamiast dotychczasowych szesnastu, napisałem tysiąc dwieście stron.

A „Kamilla...”? Być może, chociaż przecie nie szło jednak wyłącznie o seks, lecz o zło siedzące w ludziach, o wyrosniętą z chłopskiej egzystencji chłopską arystokrację, pazerną arystokrację. Wieś przecie nigdy taka jak obecnie, nie była. Wszystko zostało w niej wypaczone. Wpływy miasta, cywilizacyjne złe wpływy, zabiły starą wieś. Dawna jej dobra kultura ludowa przegrała i przepadła.

Nie ma jej, nie istnieje. Musiałem się temu sprzeciwić.

„P.”: — Prawie wszystkie pańskie powieści obfitują w kieleckie, uściślmy — nadnidziańskie realia, dzieją się gdzieś niedaleko Buska, Pińczowa, więc jakby w pańskim rodzonym Chrobrzu lub jego najbliższej okolicy. To może z punktu widzenia wymowy tych dzieł nie ma, nie powinno mieć znaczenia, pytam jednak ze zwykłej, także czytelniczej ciekawości, z dociekliwości o związki dziejących się w nich zdarzeń z tamtejszą, nadnidziańską rzeczywistością. Istnieją?

J.M.: — Moje książki wszystkie dzieją się w Chrobrzu. Kiedy zaczynam pisać książkę, wybieram sobie jakiś zapomniany chroberski dom i tam umieszczam w nim swoich zmyślonych bohaterów z ich zmyślonymi problemami i sprawami. „Kamilla” dzieje się na przykład w domu Cierpińskiego, którego już nie ma, w „Apassionacie” występuje nasz rodzinny dom, sąsiedzki, chroberski pałac.

Akcje poszczególnych książek toczą się w chroberskich poszczególnych, znanych mi i zapomnianych domach, choć z ich prawdziwymi mieszkańcami i gospodarzami nie mają nic wspólnego. Jestem bardzo mocno, piekielnie mocno związany z tą wsią. Ciągłe ona występuje w moich utworach, jej domy, jej budynki, ulice, nawet drzewa.

Źle powiedziałem na początku — nie wybieram ich specjalnie. One same się wybierają, same pod piórem przechodzą na kartki książek. Ręka wybiera, bo przecież nie myślę, nie kombinuję pisać. Chyba że robi mi się węzeł, którego nie mogę rozwiązać. Bywa że siadam do książki i piszę jednym ciągiem nie zmieniając ani przecinka. Choć zdarza się, że siedzę nad jednym zdaniem trzy dni.

Piszę stale, bez przerwy. Weźmy „Apassionatę”. Pisałem ją cały czas i wszędzie. Rano, w południe i wieczór, pisałem w domu, ale i w autobusie, na skrawkach papieru i biletach, w tramwaju, wszędzie. Nie uznaję bowiem pisanie według z góry ułożonego planu. To nie ma nic wspólnego z twórczością. Twórczość musi być spontaniczna, jest spontaniczna. Dzieło samo się wylewa z człowieka...

Nie ma u mnie nic wziętego z rzeczywistości, ani jednego rzeczywistego zdarzenia. Stworzyłem wszystkich występujących w moich utworach ludzi, kazałem im przeżywać takie a nie inne zdarzenia. Fakty mogą mnie tylko inspirować. „Całopalenie” ma już dziś cztery tomy, czwarty jest właśnie w druku, te cztery tomy, to sto arkuszy autorskich i nie ma w nich ani jednego rzeczywistego faktu. Wszystko zmyślone. „Apassionata” na przykład miała tylko rzeczywisty zaczątek w fakcie, że Niemcy z chroberskiego pałacu potrzebowali kobiet do kuchni. Dwie poszły — Irena i moja siostra. Pod karabinem. Tyle. Reszta jest nieprawdziwa, choć przecie rzeczywista. Ja życia nie fotografuję.

„P.”: — Co dalej?

J.M.: — Nie piszę. Dręczy mnie sporo dokuczliwych chorób, a poza tym pamiętam słowa mojego serdecznego przyjaciela Karola Irzykowskiego, zresztą może to był Sieroszewski, który powiedział mi kiedyś ważną rzecz, bardzo ważną dla pisarza. Pamiętam — mówił — pisanie zacząć możesz w każdej chwili swego życia, w wieku piętnastu i trzydziestu lat, ale trzeba wiedzieć kiedy skończyć, żeby nie pisać złych i bałamutnych rzeczy.

Czy Sienkiewicz naprawdę potrzebnie napisał „Legiony”?

Tak. Myślę, żeby skończyć. Nie publikować już nic nowego. Absolutnie. Zaczęłem od losów Polski w „Podśluchanym”, bo ojczyzna ma dla mnie największe znaczenie, skończyłem „Całopaleniem” książką na miarę moich marzeń. Wystarczy...

„P.”: — Szkoda, może jednak warto jeszcze próbować... Wróćmy na zakończenie do początku tej rozmowy, do owego snu. I pozwól pan, że w związku z tym — może całkiem niedorzecznie — zapytam, jak pan sądzi, skąd się w wiejskim dziecku, dziecku z biednej przecież, zaniedbanej wsi wzięła ta, że tak powiem, pisarska przypadłość?

J.M.: — A skąd się wzięła w Janku Muzykancie, skąd się bierze w ludziach niepiśmiennych, takich jak choćby mój ojciec, który był znakomitym adwokatem, takim wiejskim, sądowym chłopskim doradcą? Skąd się wzięła u mojej siostry Zośki cudowna zdolność opowiadania zmyślonych przez nią, całkowicie zmyślonych historyjek? Ona byłaby świetnym, znakomitym pisarzem.

Talent, ten — jak go nazwano — dar Boży, przejawia się we wszystkich stworzeniach, także w ludziach, niezależnie od tego skąd — z miasta, czy ze wsi — pochodzą, czy dziedziczą go po rodzicach, ojcach, matkach, czy sam przychodzi. Jest, albo go nie ma. Ważne, żeby talentu nie zmarnować.

„P.”: — Pan go nie zmarnował...

Wypada mi teraz w swoim i naszych czytelników imieniu złożyć panu serdeczne urodzinowe życzenia i gorąco podziękować za rozmowę.

J.M.: — Ja także dziękuję.

Rozmawiał
ZBIGNIEW NOSAL

KIELCE, 4 LIPCA 1946

Tamten czwartek

W CZWARTEK, czwartego lipca 1946 r. w godzinach porannych przed budynkiem przy ulicy Planty 7 w Kielcach zaczęło tworzyć się zbiegowisko. Ludzi przylądła tutaj, obiegająca miasto pogłoska, jakoby Żydzi — mieszkańcy tego domu — u prowadzili kilkoro polskich dzieci i dokonali na nich mord. Źródłem tej porażającej, ale nie mającej nic z prawdą wspólnego wiadomości, co niezbicie wykazało późniejsze dochodzenie, był ośmioletni chłopiec, który utrzymywał, że porwali go Żydzi, a następnie zamknęli w piwnicy domu przy ul. Planty 7. Miał widzieć tam martwe dzieci, natomiast jemu samemu udało się zbiec.

Chłopca rzeczywiście nie było w domu w pierwszych dniach lipca. Po powrocie opowiedział rodzicom historię o rzekomym porwaniu. Czwartego lipca rano ojciec poszedł z chłopcem na komisariat milicji. Na Planty zostało wysła-

nych kilku funkcjonariuszy. Przed domem opatrzonym numerem siódmym gromadził się coraz większy tłum, manifestujący narastającą wrogość wobec jego mieszkańców, którzy zabarykadowali drzwi wejściowe. Agresja tłumy narastała, wreszcie pod jego naporem drzwi zostały wyłamane, w okna budynku posypały się kamienie... Polska Agencja Prasowa informowała nazajutrz: „Tłum podburzany przez celowo rozstawionych organizatorów pogromu rozpoczął demolowanie mieszkań żydowskich i mordowanie Żydów”. I dalej: „Niczego nie przeczuwający mieszkańcy domu przy ul. Planty 7 zostali otoczeni przez szumowiny, wyrzucano ich z mieszkań, pierwszego piętra na bruk podwórza i ulicy, gdzie na poszczególne ofiary rzucali się grupy osób masakrując je ciosami rur żelaznych, sztachel, kamieni itp.” Wydarzeniem tragicznego czwartku — jak podaje PAP — towarzyszyły okrzyki „Bić Żydów”, „Niech żyje rząd

emigracyjny, niech żyje Anders”. Interweniowała milicja i wojsko. We wczesnych godzinach popołudniowych tłum został rozproszony. Aresztowano 62 osoby.

4 lipca 1946 r. poniosły śmierć 34 osoby (w tym dwóch Polaków) a 42 Żydów, z których następnie sześciu zmarło w szpitalu, doznało poważnych obrażeń.

W budynku przy ul. Planty 7 zamieszkiwało około dwustu Żydów. Byli wśród nich ukrywający się w okresie okupacji przed hitlerowską zagładą, ocaleni z obozów, repatrianci. Tu mieszcili się społeczne i religijne organizacje garstki kieleckich Żydów — siedziba gminy i Wojewódzkiego Komitetu Żydowskiego, ośrodek produktywizacji przygotowujący do zawodu młodzież żydowską.

Moralna ocena wydarzeń sprzed czterdziestu lat nie pozostawia wątpliwości: stała się rzecz straszna, której wymowy nic nie potrafi złagodzić. Ale na zachowanie tłumy należy spojrzeć także przez pryzmat ówczesnej, bardzo trudnej i skomplikowanej, sytuacji politycznej, charakteryzującej się ostrą walką z opozycją i reakcyjnym podziemiem. Kilka dni wcześniej, 30 czerwca, odbyło się referendum, którego wynik, wysoce niepomysłny dla przeciwników nowej rzeczywistości z kręgów PSL powiązanych z obozem londyńskim oraz resztkami NSZ-owskich ugrupowań i niedawno powstałą organizacją „Wolność i Niezawisłość” — przekreślił wszelkie ich polityczne rachuby i nadzieje. Dał temu wyraz Władysław Gomułka w przemówieniu zatytułowanym „Obóz demokracji odniósł zwycięstwo w referendum” wygłoszonym 6 lipca 1946 r. w Warszawie na nara-

działalności PPR i PPS, który stwierdził, nawiązując do wydarzeń kieleckich: „Peesełowski-eneszetowska negacja nie uzyskawszy zwycięstwa w głosowaniu ludowym, chce je osiągnąć przez wtrącenie kraju w odmęty anarchii i wojny domowej. Jaskrawym tego dowodem jest pogrom Żydów w Kielcach.” W dalszej części cytowanego przemówienia, Władysław Gomułka obarczył bezpośrednią odpowiedzialnością za wypadki w Kielcach Mikołajczyka i PSL.

Oświadczenie w sprawie wydarzeń kieleckich złożył w kilka dni po pogromie premier, Edward Osóbka-Morawski, który powiedział m.in.: „Ewangelia nienawiści rasowej i mordy znalazła drogę do zakutych, zdegenerowanych jednostek usiłujących dziś przy pomocy pogromowej dywersji walczyć z demokracją polską (...) Dla jednostek, czy grup, czy organizacji, które popełniają zbrodnie rasistowskie i bratobójcze lub je propagują, miejsca w odrodzonej Polsce nie ma”.

Demonstracyjny pogrzeb ofiar pogromu odbył się 11 lipca. W tym samym dniu rozpoczął się proces przeciwko dwunastu osobom oskarżonym o udział w morderstwach. Sprawę rozpoznawał w trybie doraźnym Najwyższy Sąd Wojskowy na sesji wyjazdowej w Kielcach. Po trzech dniach procesu został wydany wyrok skazujący dziewięć osób na karę śmierci (wyroki wykonano), a trzy na karę więzienia.

Wydarzenia 4 lipca 1946 r. wywołały szeroki rezonans społeczny. W rezolucjach i protestach wypowiadali się przedstawiciele różnych środowisk głęboko poruszeni kielecką tragedią. W zakładach pracy odbyły się wiece protestacyjne.

Bogactwo to mądrość

Adam A. Zych

WŚLUCHUJE się w słowa modnej piosenki młodzieżowej w wykonaniu zespołu „Kombi”:

„(...) Mówią: szmal określa
być, trzymaj tak,
Twarde łokcie pomogą ci
i gietki kark (...)
Kto przegrany nie liczy się,
odpada z gry (...)
(...) Słodkiego, miłego życia”.

Pojawia się tutaj problematyka, która wciąż wzbudza wiele sporów i dyskusji. Jest to sprawa realizowania siebie poprzez konsumpcję, swoistego „obrastania w rzeczy”, zmierzania ku życiu urządzonemu, łatwemu, bogatemu, zorganizowanemu wokół rywalizacji i posiadania. Z taką koncepcją życia młodzież współczesna nie chce się zgodzić, jednak otoczenie coraz częściej podpowiada taką propozycję: aby zagrać jeszcze raz — w dyskotecę świata, w ruletkę życia — o to, by coś mieć.

Jako pierwszy na ten problem wskazał francuski filozof i pisarz, czołowy przedstawiciel tzw. egzystencjalizmu katolickiego, Gabriel-Honoré Marcel (1889—1973) w

znanej pracy „Być i mieć” („Être et avoir”, 1935, tłum. pol. 1962), a za nim Erich Fromm (1900—1980) i Bogdan Suchodolski. Zauważyli oni wyraźną rozterkę wewnętrzną człowieka współczesnego w jego orientacjach życiowych. Jest to jakby ścieranie się dwóch kierunków — istnienia i posiadania, a więc konieczność wyboru pomiędzy „być” a „mieć”.

Niektórzy powiadają, że jest to „alternatywa wydumana”, ponieważ trudno jest „być” nic nie posiadając, a zarazem — jak słusznie zauważył Stanisław Siek w „Autopsychoterapii” (1985) — „człowiek współczesny ciągle poganiany, aby coraz więcej mieć, gromadzić, nabywać i znaczyć, powinien mieć jakąś przeciwwagę w tych naciskach. Filozofia o orientacji stoicko-sceptycznej stanowi taką przeciwwagę i uczy, że ważne jest przede wszystkim „być”, a dopiero później „mieć”. Filozofia ta pomaga zmniejszać nasze pretensje wobec świata i ludzi oraz znosić niepowodzenia, frustracje i wyrzeczenia, które są udziałem każdego człowieka”.

Jednakże coraz częściej w życiu społecznym zaczyna być widoczna przewaga koncepcji „mieć” nad „być”. Ważniejsze jest to, jak człowiek obraża dobrami, czy potrafi „urządzić się”, czy ma samochód, dachę, kochankę, niż to, ku czemu zmierza w swoim istnieniu.

Orientacja „mieć” jest o tyle niebezpieczna, że wyzwała bardzo często podejście rywalizacyjno-instrumentalne do drugiego człowieka. Inna osoba pojawia się wówczas w naszej świadomości, a może raczej w podświadomości, jako rywal w tej grze o lepsze „ustawienie”, jako przeciwnik, którego należy pokonać, a nawet zniszczyć, bądź jako ten, który pomaga nam zdobyć określone miejsce w hierarchii społecznej. Wystarczy wówczas sprawną dłońią poprowadzić ten rydwan w biegu bez wytchnienia i przetrzeć się przez tłum rywali; wytrzymać mimo bólu chwilę startu, mając w dołkach stopy rozpalone i piąć się — po szczebelkach drabiny, z której nie ma odwrotu — w kolejce do kariery...

Kolejnym niebezpieczeństwem postawy posiadania, na które wskazał Aleksander Wallis (1930—1984), jest również to, że „świat rzeczy tymczasowych i okazjonalnych zaczyna dominować nad światem wartości trwałych”. Jakże często zapominamy, że przedmioty mają taką wartość, jaką im się nadaje i wtedy, jak powiada Ryszard Łukaszewicz, „rzeczy siedzą w siodle i ujeżdżają człowieka”, a więc „to co posiadamy, samo bierze nas w posiadanie” (zob. L. R. Brown, „Jutro może być za późno”, 1982) a przecież już ponad sto lat temu ostrzegał nas amerykański poeta i filozof, Ralph Waldo Emerson (1803—1882), pisząc, że „przedmioty rządzą człowiekiem”.

Nie baczając na te przestrogi, człowiek współczesny coraz częściej wybiera przewrotną filozofię Marka Aureliusza (121—180), który twierdził, że

„każdy taką przedstawia wartość, jaką mają przedmioty jego starań”. I zamiast poszukiwać właściwych związków między rzeczami, tropimy przedmioty, by przydały nam indywidualności. Gromadzenie dóbr urasta wówczas do rangi kreowania osobowości. Nie muszę być widoczny, ważne by było widać to, co mam. Jeżeli sam nic nie znaczę, to przynajmniej niech otaczające mnie przedmioty powiedzą kim jestem.

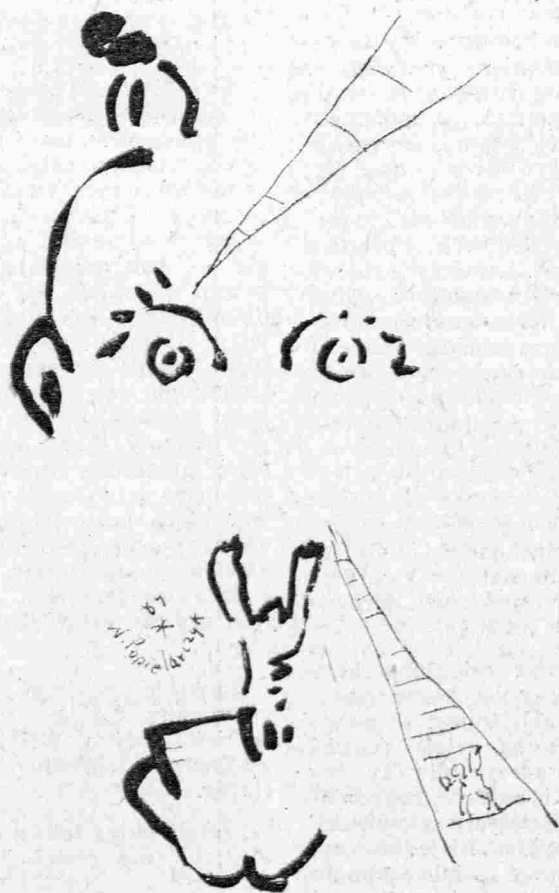
Tworzy się swoista filozofia życia, wyrażona w powiedzeniu: „bogactwo to mądrość”, a zarazem w sferze stosunków społecznych wytwarza się nastawienie typu „handlowego”, które najkrócej można wyrazić w zdaniu „nie bez w zamian”. Oczekujemy wówczas wzajemności za świadczone usługi, dokonujemy wymiany

dóbr materialnych i niematerialnych — uczuć, prestiżu, informacji, kształtując coraz częściej spotykany we współczesnym świecie typ osobowości „wymiennej”, jak określa go Zbigniew Zaborowski. Patrzymy wtedy na innych w kategoriach zysku, czy opłaca się nawiązywać kontakty z drugim człowiekiem. Jak w tej piosence zespołu „Kombi”:

„(...) Nie ma zysku
Bo ci się nie opłaca,
Nie ma zysku,
Nie dla ciebie taka gra (...)”.

Pójdźmy dalej — miłość, przyjaźń, altruizm, stają się swoistym towarem. I młodzi z takim punktem widzenia nie chcą się zgodzić, i mają chyba rację.

Sprawa następna, to wybór kierunku życia: podążać do góry, czy do przodu? Czy —



Rys. Władysław Popielarczyk

mówiąc słowami Janusza Korczaka (1878—1942) — porzucić „budowanie” — siebie i swego życia — „wzwyż i pogodnie podjąć się żmudnej roboty powszedniej — budowania wszędy”? Czy wybrać orientację pionową, „wertykalną” (jak ją określa Johan Galtung) czy też poziomą, „horyzontalną”? Czy piąć się wyżej, czy iść dalej? Czy patrzeć na społeczeństwo, świat i na własne życie w kategoriach szczebli, po których trzeba się piąć coraz wyżej, zyskując uznanie społeczne, którego podstawą staje się prestiż, przywileje lub dobra materialne? Czy też wybrać orientację horyzontalną? Z kolei na tej płaszczyźnie otwiera się przed człowiekiem rozległy obszar nieznanego, gdzie zmierzają do doskonałości, w kierunku mistrzostwa i doskonałości siebie, gdzie „lepsze” jest wrogiem „dobrego”.

Wymiar horyzontalny umożliwia również człowiekowi zachowanie zdrowia psychicznego, ponieważ „w społeczeństwie wertykanym samorealizacja musi przybierać postać pięcia się wzwyż po drabinie przywilejów wykształcenia, stanowisk zawodowych, prestiżu społecznego, bogactwa, władzy, to w społeczeństwie zorganizowanym horyzontalnie samorealizacja przebiegać może w warunkach równości i współnoty; nie miałyby wówczas charakteru „zdobywania czegoś” na innych czy wbrew innym, lecz stawałyby się orientacją, aby «stawać się kimś» dla innych czy wspólnie z innymi” (B. Suchodolski, „Osobowość i alternatywy cywilizacji współczesnej”, w „Zdrowie psychiczne”, 1985).

Rozważając orientacje konsumpcyjne społeczeństw współczesnych należy jeszcze zwrócić uwagę na wiele postaci używania, korzystania czy spożywania i odnieść zagadnienia te do szczęścia człowieka.

Konsumpcja niejedno ma imię, istnieje wiele odmian korzystania z uroków życia i świata, poczynając od prostego zaspokojenia głodu, poprzez

spożywanie wyrafinowanych potraw, aż do obżarstwa, które w artystycznej formie pokazał m.in. Louis Bunuel (1900—1983) w filmie „Viridiana”. Inną odmianą konsumpcji może być drapieżne i egoistyczne gromadzenie dóbr materialnych za wszelką cenę, nie bacząc na środki, za których pomocą zdobywa się te dobra i które to dobra stają się często głównym celem życia. Jeszcze inna forma korzystania z życia to rozkoszowanie się urokiem chwili, na co zwrócił uwagę w „Faustie” Johann Wolfgang Goethe (1749—1832), pisząc: „*Trwaj chwilo, jesteś piękna*”, a więc doznawanie życia w jego najpiękniejszych przejawach miłości, radości, emocji i zabawy. I wreszcie zamknięcie się w kręgu własnych spraw i myśli, życie jakby obok życia, to jeszcze jedna forma konsumpcji. Który styl życia przyjąć, co wybrać z tych propozycji minionych pokoleń?

Szczególnie w naszym kraju lat osiemdziesiątych wybór właściwej orientacji życiowej przez młodego człowieka jest zadaniem nader trudnym. Po pierwsze — nie za bardzo jest w czym wybierać, a po drugie — pobrzmiewają jeszcze echem przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wizje „drugiej Polski” i „drugiej Japonii”, z samochodem, kolorowym telewizorem i domem jednorodzinny dla każdej rodziny. Lata osiemdziesiąte przyniosły dramatyczne pęknięcie w wyborze dróg życia, które pozwalałyby realizować pewne nieprzemijające wartości, zapewniały godną, ludzką egzystencję, a przy tym czyniły człowieka szczęśliwym.

Zacytuje w tym miejscu znamieny dialog napisów z powieści Adama Wiśniewskiego-Snerga „Według lotra” (1978):

„Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?”

„A ty — jeśli jesteś taki bogaty, to czemu nie jesteś szczęśliwy?”

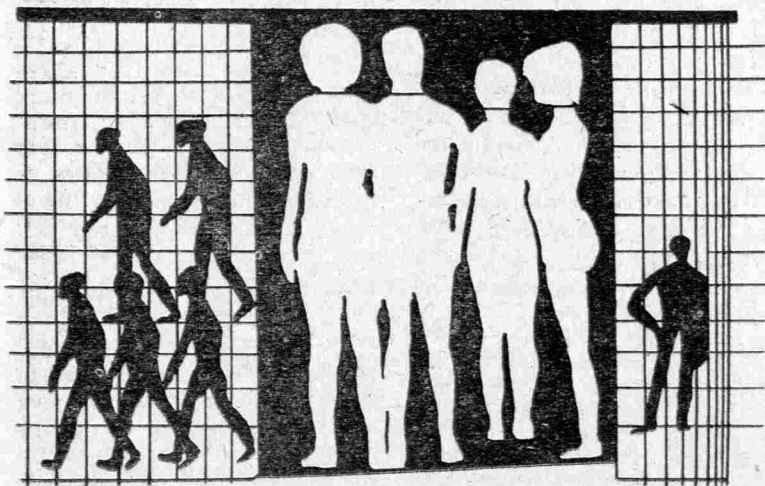
Dotykam tutaj sprawy bardzo delikatnej i nieuchwytniej, szczęścia człowieka w relacji do jego stylu czy orientacji życiowej. Nikt nie może otrzymać od rodziców, nauczycieli i wychowawców, czy od społeczeństwa szczęścia w „gotowej postaci”. Człowiekowi można podarować wszystko: przedmioty, pieniądze, miłość, stanowisko, władzę, a nawet życie — tylko szczęścia nie można ofiarować mu w darze, gdyż musi on je zdobyć własnymi siłami. Jest to najbardziej osobista sprawa każdego człowieka, za którą tylko on jest odpowiedzialny; powiedziałbym: być szczęśliwym — to moralna powinność jednostki. Już Anton Siemionowicz Makarenko (1888—1939) pisał: „*Nasza etyka wymaga od nas..., abyśmy byli szczęśliwymi ludźmi*”, a zarazem autor ten dodał: „*Shczęśliwym człowiekiem trzeba umieć być*”.

Od czego to zależy? Moim zdaniem, przede wszystkim od wyboru właściwej orientacji życiowej. Człowiek, jako istota myśląca, nie może wypełniać celów swego życia w sposób metafizyczny, poza nurtem namysłu nad własnym życiem, w tym również refleksji moralnej. Bo w końcu „*szczęście — jak trafnie zauważył G. Langguth w pracy „Młódziej jest inna” („Jugend ist anders”, 1983) — to nie brak biedy, lecz możliwość samorealizacji*”.

Zastanówmy się przez chwilę, czy w tym zgiełku świata — mamy czas i ochotę, by przeprowadzać spokojne rozważania nad samym sobą, rozumiejąc to jako wezwanie do realizacji i pogłębiania siebie? Czy nasze serca są „gościnne”, otwarte dla wszystkich, a przynajmniej dla samego siebie? Czy poprzez wybór określonej orientacji życiowej nie unieszczęśliwiamy innych i siebie? □

ADAM A. ZYCH

(Fragment książki „Być sobą nawet przeciw sobie. Szkice o młodzi współczesnej”, która ukazuje się nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie).



Rys. Jan Hajnrych

NIEPRZYSTOSOWANI

Julita Twardowska

JA nie jestem tak silny jak Baśka, ale ustawiłem się pod wszystkie możliwe wiatry. Włożyłem maskę białą — mówi Piotr.

I wyjaśnia, że w każdej klasie jest arystokracja, są średniacy, jest pogardzany plebs. Zamknięte kasty, które funkcjonują według nie do końca jasnych kryteriów podziału; wia-

domo tylko, że nie intelekt odgrywa tu decydującą rolę.

Piotr pozwolił sobie na luksus wyboru i sam ustawił się obok klasy. W ten sposób — jak śpiewała Rodowicz — ma to, co na świecie najświętsze: święty spokój.

Mówię: — konformizm. A Piotr — że samoobrona.

— Musiałem coś zrobić, bo wpadłbym w nerwicę. No i znalazłem sposób na przetrwanie. W masce białą doszedłem do takiej perfekcji, że nikt nie jest w stanie zmieszać mnie z tłumem. Wytrącam brzoń z ręki, bo jestem szybszy. Sekundę wcześniej mówię na siebie rzecz gorszą, niż mógłbym usłyszeć. Jaka może być wtedy reakcja przeciwnika? Pozostaje mu tylko jedno: roześmiać się.

Stwierdzam: — To piekielnie męczące, tak być w stałym napięciu. A Piotr — że kwestia wprawy i w ogólnym rozrachunku bilans dodatni.

On się przystosował a Baśka nie. Za silna na mimikrę, za prostolinijna na chowanie się pod jakąkolwiek maską, straciła w końcu odporność. Przewidywał: Baśka będzie się napinać jak cięciwa łuku, aż do granic wytrzymałości i nastąpi moment, gdy cięciwa po prostu się przerwie.

Znają się od dawna. Razem chodzili do przedszkola i razem do szkoły podstawowej. Rozeszli się ich drogi, gdy wybrali dwa różne licea. Najlepsze w mieście, ale co z tego? Oboje przeżyli ten sam szok. Jaka różnica w porównaniu z „ich” podstawówką — wspinała szkołą, która uczyła myśleć! A tu zupełnie inny świat: koniec dyskusowania, rację ma zawsze nauczyciel, jeśli uczeń myśli samodzielnie, to z góry wiadomo, że musi w tym myśleniu błędzić, koła zainteresowań — preferowanie działań pozornych, mało kto docenia wiedzę wykraczającą poza program, bo stokroć ważniejsze jest podporządkowanie się szkolnym rygorom, lepiej więc odebniąć obowiązki niż tracić czas na pogłębione samokształcenie, zwłaszcza w dziedzinach, których program w ogóle nie obejmuje.

Baśka nie mogła się z takim stanem rzeczy pogodzić i w tym Piotr widzi źródło jej późniejszych niepowodzeń.

Przypomina, że już w siódmej klasie niektórzy nauczyciele przepowiadali Baśce, że może

mieć kłopoty z nadmiarem wiedzy. Ja po latach usłyszałam nieco zmienioną wersję przepowiedni: „albo z tej dziewczyny będzie geniusz, albo...”. Zawieszony głos dawał rozmaite warianty do wyboru.

— Ona bardzo wcześnie, do pracowała się własnego sposobu widzenia świata — mówi Piotr. — Jest nieprzeciętnie inteligentna i nieprzeciętnie zdolna. Działa przynębiająco na innych, bo budzi kompleksy.

Baśkę poznałam przed rozmową z Piotrem. Poleciał mi ją znajomy: „Słuchaj, trzeba pomóc pewnej dziewczynie, która znalazła się w ślepym zaułku, bo wyrzucili ją ze szkoły”. „Dlaczego wyrzucili?” „Najlepiej, jak ona sama ci wszystko powie”.

Baśka przyszła do mnie do domu. Już na wstępie zaznaczyła, że na żadną pomoc nie liczy, bo z góry wie, że pomóc jej nie można. Ktoś ją przyjmie z taką fatalną opinią niesubordynowanej uczennicy? Przyszła więc tylko porozmawiać.

Owszem, została usunięta ze szkoły. Jest to już jej drugie liceum. Z poprzedniego sama zabrała papiery, gdy nie uzyskała promocji do następnej klasy. Na świadectwie miała sześć ocen niedostatecznych. Tak więc drugą klasę powtarzała a trzeciej nie skończyła.

— Wszystko stało się z mojej winy. Gdybym skoncentrowała się na celu nadrzędnym, zdałabym już maturę. Usłyszałam kiedyś od bardzo mądrej profesorki, że szkoła to gnojówka, którą trzeba przepłynąć. Powinam sobie tę złotą myśl wziąć bardziej do serca.

Baśka potrafi zaintrygować. Sposobem bycia, stylem mówienia, skłonnością — może czasem nadmierną — do używania terminów naukowych.

Marzyła o medycynie. „Medycyna... Imperatyw kategoryczny, któremu podporządkowałam swoje zainteresowania: psycho-

logią, anatomią, socjologią, filozofią, religioznawstwem... Człowiek jako psychofizyczna jedność a nie petent wymagający interwencji. Niestety, już na studiach medycznych dominuje ten drugi punkt widzenia, ale to inna sprawa. Bo coż dla mnie teraz studia medyczne? Model rzeczywistości o znikomym współczynniku prawdopodobieństwa”.

Kiedy słyszę, że mnóstwo godzin spędzała w prosektorium — nie ukrywam zaskoczenia. A Baśka od razu torpeduje ewentualny tok moich myśli: „To nie upośledzenie emocjonalne, lecz rezultat zainteresowań anatomią, fizjologią. Poza tym czułam się tam potrzebna. Pomagałam, choć lekarze o niczym nie wiedzieli. W pewnym sensie nielegalnie. Nakryto mnie i została wyrzucona. Ale nie żałuję godzin spędzonych w prosektorium. Z tego środowiska wynosi się egzystencjalną refleksję, która stymuluje do akceleracji psychicznej”.

No, tak.

Po paru godzinach rozmowy wiem o Baśce tyle, ile sama zechciała powiedzieć. I ani słowa więcej. Wszelkie próby wkroczenia w rewiry, które dziewczyna uznawała za zakłète, kończą się fiaskiem. Nie może więc być pytań dotyczących relacji: ona — rodzice, bo nie będzie odpowiedzi. Padnie tylko mgliste stwierdzenie: „Ja rozumiem swoich rodziców, mają ze mną rzeczywiście duże kłopoty”.

Baśka pochodzi z rodziny inteligentkiej. Jest jedynaczką. O jej matce dyrektorka liceum powie: „Uosobienie taktu, kultury, spokoju”, ale zaraz doda: „Nie udało mi się zbliżyć córki do matki, mimo wielokrotnych starań”. Gdzieś tam po drodze więzi popękały. Rozważania typu „dlaczego” są już czystą spekulacją. Wie tylko Baśka, a mówić na ten temat nie chce.

Pierwszy etap życia, czyli szkołę podstawową, przeżyła jako lider. Opinia wszechstronnej zdolnej, świadectwo z czerwo-

nym paskiem, świetne stopnie, wzorowe sprawowanie. Ale już w pierwszej klasie licealnej zaczęły się kłopoty. Być może ich źródło należy szukać w rozczarowaniach szkołą średnią, o których mówił Piotr. Być może te rozczarowania były z kolei przyczyną konfliktów z niektórymi nauczycielami, a później ocen niedostatecznych: bardziej lub mniej sprawiedliwych. Baśka zaczęła opuszczać lekcje. Wpadła w błędne koło. Wolała siedzieć w domu, czytać książkę z filozofii czy socjologii, niż iść do szkoły; wierzyła, że przy swoich zdolnościach i tak da sobie radę ze stopniami, ale zaczęła dostawać dwójki właśnie za absencję, za zeszyt, za nie odrobioną pracę domową.

Zagubiła się. W drugiej klasie miała jeszcze dłuższe okresy nieobecności w szkole. Tłumaczy je kłopotami natury psychicznej. Sama sobie postawiła diagnozę. Dyssolucja, czyli forma regresji, polegająca na dezintegracji procesów psychicznych, które nabierają w ten sposób charakteru zaburzeń psychicznych.

Owszem, trafiła do lekarzy, ale znacznie później. Porada neurologiczna — bez skutku, wizyta u psychiatry — bez diagnozy, skierowana na badania w szpitalu wyszła po dwóch tygodniach wprawdzie z rozpoznaniem (zespół neurasteniczny z dysharmonijnym rozwojem osobowości) ale bez prób leczenia i wskazówek — co dalej.

Dwa miesiące przed końcem roku szkolnego w drugiej klasie Baśka postanowiła zmienić liceum. Złożyła wizytę dyrektorce i w rezultacie dość długiej rozmowy otrzymała: po pierwsze — zapewnienie, że będzie przyjęta, ale od września, gdy zgłosi się z promocją do trzeciej klasy, po drugie — propozycję, by wzięła udział w olimpiadzie geograficznej (regulamin akurat leżał na biurku pani dyrektor).

— Już ta pierwsza rozmowa wystarczyła, by zorientować się, że dziewczyna jest bardzo inte-

ligentna, ma szerokie zainteresowania, tylko nie może się odnaleźć. Przyjęłam Baškę z otwartymi rękami — mówi pani dyrektor — myślałam: trafiła nam się wyjątkowo zdolna uczennica a szkoła raczej w talenty uboga. Toteż nawet gdy Baška przyniosła świadectwo z dwójkami informując, że już zabrała dokumenty z poprzedniej szkoły — wykazałam brak konsekwencji i przyjęłam ją, żeby u nas powtarzała rok. Mało tego. Nawet, gdy zobaczyłam, że wśród szesciu dwój na świadectwie jest także dwójka z geografii — wierzyłam, że na olimpiadzie geograficznej da sobie radę.

Do olimpiady Baška przygotowywała się już przez wakacje. Jesienią miał termin oddania pracy: minimonografii regionu. Baška wdraprywała się na koscielne wieże, robiła zdjęcia, setki zdjęć, rysowała mapy, dzieła map, by potem stwierdzić, że niestety, przykro jej, ale rezygnuje, bo nie zdąży. Pani dyrektor za telefon, do członków komisji z prośbą, by przyjęli po terminie pracę już prawie ukończoną, uczennica wyjątkowo zdolna, ale za duża perfekcjonistka. Udało się. Praca została przyjęta i Baška — co było do przewidzenia — zakwalifikowała się do następnego etapu. Ale nie pojechała do Łodzi. Tym razem zrezygnowała definitywnie. Dostała do wniosku, że jej wiedza z geografii — przedmiotu, który zostawał poza obszarem jej głębszych zainteresowań — jest na olimpiadę niewystarczająca. „Ona mogła nie zająć żadnego miejsca, ale pojechać powinna”, mówi pani dyrektor. Baška do dziś ma odmienne zdanie. Przy małych szansach na zwycięstwo szkoda startować.

A może żal jej było czasu na dodatkowe zajmowanie się geografiami? Odczuwała głód wiedzy z całkiem innych dziedzin. Wolała chodzić na wykłady z chemii w Wyższej Szkole Inżynierskiej, jeździć na wykłady do Krakowa... I widocznie wolała też — jak wieść niesie — pałętać się po szkole od rana do godzi-

ny osiemnastej, wdawać się w dyskusje z nauczycielami, kolegami, wóznymi, kto tylko był pod ręką albo siadać w ubikacji na sedesie z książką np. o religiach świata i czytać akurat tam, a nie w świetlicy lub czytelniku.

Coraz częściej jednak w ogóle nie przychodziła do szkoły. I w nowym liceum zaczęły się stare kłopoty. Nawet zorganizowana przez panią dyrektor wystawa obrazów Baški nie miała żadnego wpływu na frekwencję. I znów posypały się dwójki.

Według opinii nauczycieli Baška potrafiła bezbłędnie przygotować referat, ale jeśli po dłuższej nieobecności pojawiła się w szkole, wtedy wychodziły na jaw luki w bieżących wiadomościach. Owszem — usłyszałam — wiedzę dziewczyna ma ogromną, ale, jakby to powiedzieć, niezupełnie w szkole przydatną: ta filozofia, to religioznawstwo...

— Ona się na wielu lekcjach nudziła — mówi kolega Baški. — Podczas lekcji matematyki smarowała coś na kartce papieru, nauczycielkę zdenerwował i szelst, i brak zainteresowania, wezwła Baškę do tablicy, dała jej bardzo trudne zadanie, które Baška bez większego namysłu rozwiązała. Ciach- ciach i wynik końcowy. A wydawało się, że w ogóle nie uważała...

Mimo nieprzeciętnych zdolności, których nie kwestionują nawet najzagorzalsi przeciwnicy Baški — groziło jej powtarzanie po raz trzeci drugiej klasy. Otrzymała promocję. „Społeczność klasowa” nie kryła dezaprobaty dla decyzji Rady Pedagogicznej: dlaczego Baška jest na specjalnych prawach? Wszystko jej wolno, bimba na szkołę a i tak na swoje wyjdzie. Ten manewr Rady Pedagogicznej już nigdy nie mógł być powielony. I dlatego w trzeciej klasie, kiedy nie powiedziała się kolejna próba wtórczenia Baški w gorset szkolnych rygorów, dziewczyna została z liceum usunięta. Argumentowano: skończyła osiemna-

ście lat, nie musi chodzić do szkoły dziennej, w wieczorówce może pozwolić sobie na indywidualny tok nauki i ma jeszcze szansę „zaliczenia” trzeciej klasy.

— Baška była moją nadzieją a stała się chyba największą, w ciągu trzydziestu lat pracy, porażką pedagogiczną — mówi pani dyrektor.

Nadzieją był też Maciek, z którym Baška od razu się zaprzyjaźniła, dostrzegając i ceniąc jego „twórczy umysł oraz znaczną pobudliwość intelektualnej wyobraźni”.

Maciek przyszedł z Łodzi, po szkole zasadniczej. Miał dziesięć lat, gdy postanowił rozpocząć naukę w liceum. Ujął panią dyrektor, że tak garnie się do nauki, wzruszył życiorysem dziecka z rozbitej rodziny, wychowywanego przez ojca. Postanowiła mu pomóc. Chłopak uzyskał zgodę Kuratorium na przyjęcie od razu do drugiej klasy pod warunkiem, że zda egzaminy uzupełniające z przedmiotów, których nie miał w szkole zasadniczej.

W bardzo krótkim czasie Maciek bez trudu zaliczył wszystkie egzaminy. Wkrótce okazało się, że znajomością angielskiego i łaciny przewyższa klasę, że mnóstwo czytał: Proust, Joyce, Faulkner, że próbuje tłumaczyć z angielskiego, że interesuje się poezją arabską, że sam pisze wiersze i prozę, że nad wieloma koleżankami i kolegami ten chłopak z zawodówki góruje intelektem. Klasa zaczęła Macka nie znosić. Uważano, że jego ambicje, szerokie zainteresowania podporządkowane były tylko jednemu celowi: popisać się przed nauczycielami. Mało kto myślał inaczej: że może Maciek po prostu goni stracony czas.

Sztychono z niego często. Kiedy opublikował w gazetce szkolnej swoje wiersze, wysoko ocenione przez polonistkę, kiedy żarliwie próbował bronić swoich racji, kiedy w ogóle zabierał głos.

— To było systematyczne, ciągłe niszczenie — mówi Baśka, która wprawdzie chodziła do innej klasy, ale doskonale wiedziała co się dzieje w humanistycznej.

Nauczyciele orientowali się chyba znacznie mniej, skoro zabrakło właściwej interwencji we właściwym czasie.

Wyprowadzony z równowagi Maciek rzucił kiedyś kolegom: „Jek ja was nienawidzę!” Aż nadszedł moment, gdy zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Zatakowany w ubikacji przez nieznanego sobie chłopaka, ucznia innej szkoły — wyciągnął nożyczki i wymierzył w szyję przesładowcy cios, z biblijnym okrzykiem „Człowieku, czym ci uczyniłem?” Potem już mniej biblijnie, ale wciąż półprzypadkowo, wygrażał: „kto podejdzie — zabiję!”

W szkole przerażenie i popłoch. Na szczęście rana szyi okazała się niegroźna. Maciek po wybuchu opadł z sił i tylko jedno powtarzał: „Działalem w obronę własnej”. Konsekwencje, oczywiście, musiał ponieść. Ale kto wie, czy nie liczył się z surowszymi. Wysłano depesze do rodziców. Przyjechali oboje: on z Łodzi, ona z Wybrzeża. Długa rozmowa w gabinecie pani dyrektora i wniosek końcowy: w tej szkole Maciek zostać nie może. Jeśli rodzicom zależy, by uratować mu rok — a warto z takimi stopniami — powinni syna przenieść do innego liceum. Zależało ojcu. Kilka miesięcy później ojciec napisał list: „Pani Dyrektor. Nadal czynię to, co należy do obowiązków rodzica wobec mego syna Macieja, i nikt inny tego czynić nie będzie. Jego proces stabilizacji osobowej przebiega zbyt wolno. Tu trafił, zda mi się, do szkoły dobrej. Jego średnia ocen na koniec roku wynosi 4,1. Stwierdzam (i b. to sobie cenię), że Pani decyzje wobec niego były trafne. Bez słów wielkich przesyłam pozdrowienia Pani i

wszystkim nauczycielom i wyrażam wdzięczność”.

Niby w sumie — happy end. A tak dużo pytań otwartych...

Incydent z nożyczkami zawazył nie tylko na losach Maćka, ale miał też wpływ na losy Andrzeja, w którego obronie podobno tamten obcy chłopak występował. Andrzej, kolejny zagubiony, pochodził z wielodzietnej, biednej rodziny. Wychowywała go ciotka. Uciekł ze szkoły ojców franciszkanów, gdy stwierdził zbyt daleko idącą rozbieżność ewangelicznych treści i praktyk klasztornej życia. Zmienił całkowicie środowisko, miasto.

Zjawił się w dziwnym ubraniu, ręce złożył jak do modlitwy, oczy spuścił w dół i cichutkim głosem poinformował dyrektorkę, że skierowało go tu Kuratorium.

— Miał maniery księdza — mówi pani dyrektor. — Zachodziła uzasadniona obawa, że jeśli się z nich nie wyzwoli, będzie śmieszny.

Wyzwolił się dość szybko. Dla zaakcentowania pełnych przemian wstąpił do młodzieżowej organizacji i nawet wykazywał niemałą aktywność. Poczł się dojrzały, samodzielny. Chciał korzystać z życia. Ale nie miał pieniędzy. Pieniądze miał Maciek.

Razem mieszkali (najpierw u pallotynów, potem w internacie), przez pewien czas tworzyli zgodny koleżeński tandem, choć trudno ten układ nazwać przyjaźnią. Maciek zaopiekował się Andrzejem, często go finansował i pewnie z tej racji próbował sobie podporządkować. Materiał był podatny, ale okazało się, że jeszcze łatwiej niż Maćkowi Andrzej ulega opinii grupy. I klasa, jak mówi Baśka, posłużyła się Andrzejem instrumentalnie. Finał znany. Poprzedziła go absurdalna skarga Andrzeja, że Maciek wyłudził od niego pieniądze. Obcy uczeń wystąpił jako obrońca.

Kiedy Maciek odszedł ze szkoły, Andrzeja zaczęły nękać wyrzuty sumienia na tyle silne, że pod koniec roku zabrał papiery i wyjechał. Dalej historia jak z filmu. W pociągu spotkał brata albertyna, dowiedział się, że w Ojcowie albertyni prowadzą dom opieki dla psychicznie chorych, nie rokujących żadnych nadziei i podjął decyzję. Jedzie do Ojcow. Po pierwsze — odpokutuje swoje winy, gdy odda się gorliwym uczynkom miłosierdnym, po drugie — znajdzie dach nad głową i będzie mógł dalej uczyć się w liceum, bo taką obietnicę otrzymał.

Na miejscu obietnica poszła w niepamięć. Andrzej harował przy chorych dzień i noc jako salowy, słuchał schizofrenicznych opowieści o głowie, która rozszczepiła się na dwoje i potoczyła dalej, o bogach, niewymiarach... Czuł, że dłużej nie wytrzyma... Uciekł. Pokuta okazała się ponad siły.

Przyjechał do szkoły w stanie kompletnego rozkojarzenia, głodny, niewyspany, bez grosza w kieszeni. O ponowne przyjęcie do liceum nie prosił. Przyjechał, bo nie bardzo miał się gdzie podziąć. Ale ani nauczyciele, których zaczął, ani koledzy, ciekawi niesamowitych opowieści, nie pytali: „Masz co jeść? Masz gdzie spać?” Zabrała go do swojego domu Baśka.

Szukała mu potem miejsca, w którym mógłby zarówno pobyć dłużej, jak i odnaleźć się. Nie jest to klasztor. I nie jest to szkoła z internatem.

* * *

A Piotr mówił: — Musiałem coś zrobić, bo wpadłbym w nerwicę. Znalazłem sposób. Ustawiłem się pod wszystkie możliwe wiatry. I włożyłem maskę błazna, która stała się moją bronią.

JULITA TWARDOWSKA

Wszystkie imiona zostały zmienione.

W cieniu płaczących brzóz

Longin Kaczanowski

Musimy pamiętać, że los Michniowowi podobny w latach hitlerowskiej okupacji podzieliło wiele polskich wsi. Jest wśród nich, położona na ziemi łomżyńskiej, niefajowa Krasnowo-Częstki...

(Roman Malinowski — prezes NK ZSL, przewodniczący Honorowego Komitetu Budowy Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskiej w Michniowie).

ZAPAMIĘTANO, że Mystkowski miał na głowie czapkę, choć tamten lipcowy brzask zapowiadał upalny, słoneczny dzień. Zdyszany biegł ociężałe przyczepiony do burty samochodu powozem, jakim zwykło się wiązać bydło w oborze. Drugi koniec powozu opłatał mu szyję. Niemiec siedzący w siofierce obok kierowcy, niejaki Danko, zastępca amtskomisarza z Szepietowa, co chwilę spoglądał w stronę Mystkowskiego. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet. W końcu ta „zabawa” znudziła się niemieckiemu urzędnikowi, bowiem po wjechaniu samochodu pomiędzy zabudowania Krasnowo-Częstek wychyliwszy się nagle z sioferki zastrzelił swoją ofiarę, coraz wolniej poruszając nogami, po przebiegnięciu czterech morderczych kilometrów.

Józef Mystkowski, mieszkaniec wsi Pułazie, był pierwszą, można powiedzieć — przypadkową ofiarą pacyfikacji Krasnowo-Częstek. Niemiecka

policja spowodowała śmierć tej wsi 17 lipca 1943 roku, a więc prawie w tym samym czasie, gdy na Kielecczyźnie płonął Michniów. Mystkowskiego zagarnięto z wiejskiej drogi, gdy wyszedł z domu na odgłos przejeżdżającej kolumny samochodów i furmanek, wiozącej Niemców na zagładę Krasnowo-Częstek.

Kaplica

Krasnowo-Częstki leżą na Podlasiu. Ziemia tu płaska jak stół, choć nie oznacza to monotoności krajobrazu. Jadąc do wsi, od strony dawnego powiatowego miasteczka, Wysokiego-Mazowieckiego, mijając po drodze wiekowe drzewa i szerokie zagony pól, jakże odmienne od kieleckich pasieków. Na pierwszy rzut oka Krasnowo-Częstki wydają się podobne do innych podlaskich wiosek. Dopiero po chwili spostrzegłem, że wiele jest w tej wsi drewnianych domów i budynków gospodarczych. Mocny akcent krajobrazowy wy-

różnia tę wieś od innych. Nad zabudową Krasnowo-Częstek, położona prawie centralnie, góruje wyniosła kaplica.

Tylko raz w roku, właśnie 17 lipca, odprawia się w niej uroczyste nabożeństwo w rocznicę okupacyjnej tragedii. W pozostałe 364 dni kaplica jest miejscem narodowej pamięci. Zwirowana alejka prowadząca do tej wiejskiej świątyni rozdziela dwie położone naprzeciw siebie tablice, tuż przy wejściu do kaplicy. Na lewej widnieje napis „Tu spoczywają ofiary barbarzyństwa hitlerowskiego, mężczyźni w ilości 69 osób, wymordowani w bestialski sposób we wsi Krasnowo-Częstki 17 lipca 1943 roku”. Tablica po prawej stronie informuje, iż jest to miejsce spoczynku 188 kobiet i dzieci zamordowanych tego samego dnia.

Nad obiema mogiłami szumią wysokie, płaczące brzozy, niczym strażniczki cieni pomordowanych mieszkańców wsi. Te arcy-polskie drzewa stwarzają jakiś niepowtarzalny nastrój okupacyjnego cmentarza. Tylko dwie mogiły, lecz ileż ofiar... W pobliżu mogiły mężczyźni, na kamiennej płycie jeszcze jeden napis: „W 40 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem w tym miejscu złożono uroczyste ziemię pobraną z 24 wsi spacyfikowanych przez hitlerowskich barbarzyńców na ziemi łomżyńskiej”. A więc jest ten cmentarz miejscem — symbolem pamięci wszystkich łomżyńskich wsi pacyfikowanych przez niemieckiego okupanta. Krasnowskim brzozom jakby „przybył” obowiązek czuwania nad prochami pomordowanych w Czyżewie, Gołaszach-Mościskach, Jabłoni Dobkach, Sikorach Tomkowiat, Truskolasach Lachach...

Chyba każdego kto przekracza próg tej świątyni musi uderzyć spokój i nieuchwytnie dostojęstwo jej wnętrza. Na wprost wejścia skromny, prosty ołtarz dosłownie tonący w kwiatkach. Nad nim malowidło Chrystusa Ukrzyżowanego. Na ścianach estetyczne gabloty z fragmentami zwię-

glonych desek, łuskami karabinowych kul, przedwojennymi zdjęciami pomordowanych. Plastycznie bardzo interesujące wykonane plansze przypominają podstawowe fakty zbrodni. „W wyniku pacyfikacji wsi Krassowo-Częstki hitlerowcy wymordowali 257 mieszkańców, w tym 97 dzieci” — czytam na jednej z nich. Dalej wykazy rozstrzelanych. Podobnie jak w Michniowie, hitlerowcy mordowali tutaj całe rodziny. Najwięcej zginęło Markowskich, Krassowkich, Żochowskich, Olędzkich, Piętków, Kaczyńskich, Jankowskich, Szepietowskich...

Wiele interesujących faktów przekazuje zwiedzającym tablica „Winni zbrodni ludobójstwa”. Dowiaduję się z niej: „Osobisty udział w zbrodni i bezpośrednie kierownictwo sprawował landrat i kreiskommissar z Łomży Karl von der Gröben — obecnie aktywny działacz rewizjonistyczny w RFN. Najbliższymi jego pomocnikami byli: Ennulat — szef gestapo z Łomży, Czychall — komendant żandarmerii z Łomży, Buse — dowódca oddziału żandarmerii z Łomży, Gross — dowódca oddziału żandarmerii z Wysokiego-Mazowieckiego, Boeninger — komendant żandarmerii z Szepietowa, Thammamtskomissar z Szepietowa. Za dokonane zbrodnie odpowiedzialni są również dowódcy oddziałów Wehrmachtu dywizji «Białystok» dowodzonej przez gen. majora Richarda Wenke”.

Pacyfikację Krassowa-Częstek przygotowało więc gestapo, zaś jej wykonanie spadło na barki żandarmerii, a nawet Wehrmachtu. Hitlerowscy policjanci „wywiązali się” znakomicie z tego zadania, bowiem z potwornej masakry, jaką zgottowali mieszkańcom wsi, ocalało jedynie 12 osób, dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności. Dzisiaj żyje już tylko kilku z nich.

Świadek

Stanisław Żochowski kończy właśnie wieczorny obrządek.

Jego podwórze graniczy z obszernym placem okalającym kaplicę-mauzoleum. Chętnie przystał na rozmowę i dziwi się jedynie, że aż w Kielcach są zainteresowani okupacyjną historią jego rodzinnej wsi. Pomimo dobiegającej osiemdziesiątki trzyma się krzepko. Powiada, że to przez ciągłą pracę na roli. Razem z żoną obrabiają 10 ha ziemi i hodują 8 sztuk bydła. Kiedyś mieli więcej, dzisiaj cierpliwie czekają, aż wnuczek skończy szkoły i przejmie po nich gospodarstwo.

Wydarzenia tamtej lipcowej nocy i dnia Stanisław Żochowski pamięta doskonale, jakby działał się niedługo wczoraj. Wryły mu się mocno w pamięć i serce.

— Moja zagroda, tamta, rzecz jasna, stała wówczas w tym samym miejscu co obecna. Przed trzecią obudziła mnie jakaś dziwna strzelanina. Szybko ubrałem się i wyszedłem na drogę biegnącą przez wieś. Nagle zobaczyłem przebiegającego drogą umundurowanego Niemca. Pomyślałem, że pewnie będzie jakaś obława na mężczyzn. Natychmiast wróciłem do mieszkania i pobudziłem wszystkich domowników. Z bratem Lucjanem skryliśmy się pod spichrzem w mojej stodole. Przez dziurę w kamiennym fundamencie widziałem co się dzieje na podwórzu i dalej na wsi. Niemcy wypędzali ludzi z mieszkań, kobiety, mężczyzn, dzieci i prowadzili ich do stodoły Stanisława Jankowskiego, graniczącej z moją zagrodą. Pognano tam również moją żonę z małymi dziećmi.

Zauważyłem, że we wsi pojawiło się dużo furmanek powołanych przez chłopów z okolicznych miejscowości. Obok furmanów siedzieli ładowacze, którzy widać na niemieckie rozkazy zaczęli wynosić z domów odzież, pościel, meble. Z chlewów, obór, ze stajni wyprowadzali świny, krowy, konie. To było istne piekło. Na ludzkie krzyki nakładał się ryk bydła, rżenie koni. Siedząc pod spichrzem słyszałem rozmowę ludzi, któ-

rym żandarmi polecili ładować na furmankę rzeczy z moich zabudowań. Mówili, że Niemcy kazali kopać miejscowym dwa duże doły na podwórzu Jankowskiego. Będzie my strzelani, pomyślałem wtedy. Wykorzystując chwilę, że Niemców nie było na naszym podwórzu, opuściliśmy z bratem kryjówkę. Dołączyliśmy do furmanów udając ładowaczy i w ten sposób mogliśmy wydostać się z okrażonej wsi. Furmanki ciągnęły w stronę siedziby żandarmerii w Szepietowie, gdzie składowano zrabowane przedmioty i zapędzano inwentarz. Będąc już za wsią słyszałem strzały i widziałem łunę pożaru, nad zabudowaniami.

Do Krassowa wróciłem następnego dnia rano. Dowiedziałem się wówczas, że wszyscy mieszkańcy wsi zginęli, w tym cała moja rodzina, żona i troje dzieci. Wsi właściwie nie było, bowiem jej zabudowania zostały kompletnie spalone. Wokół świeżych mogił na podwórzu Jankowskiego widziałem ślady krwi i drzazgi z ludzkich kości. Tygodniami nie mogłem sobie znaleźć miejsca. W końcu, któregoś dnia, znów przyszedłem na zgłiszczą Krassowa i zacząłem rozkopywać mogiłę kryjącą szczątki kobiet i dzieci. Zapomniałem dodać, że Niemcy osobno zabijali mężczyzn, grzebiąc ich w jednym dole, osobno kobiety i dzieci, które wrzucano do drugiego dołu. Rozkopując mogiłę natrafiłem na zwłoki sąsiadki i jej 5-letniej córeczki. Pamiętam, że rączka dziecka leżała na zwłokach matki, jakby ją chciała objąć. Wstrząśnięty tym widokiem zaprzestałem rozkopywania mogił.

Nieliczni, którzy ocalali jakimś cudem bożym, opowiadali straszne rzeczy. Na małe dzieci Niemcy żalowali kul, żywcem wrzucali je do dołu i przysypywali ziemią. Jedną z mieszkanki wsi, Leokadia Olędzka, urodziła tej nocy bliźnięta. Kobieta przywleczo do dołu i wrzucono wraz z zawiniętymi w prześcieradło niemowlętami...

Stanisław Żochowski ociera
lzy. Milezimy obaj.

Słowo o księdzu Kaczyńskim

Na pożegnanie oglądam zabudowania gospodarze. — Dom drewniany postawiłem w dwa lata po wojnie — powiada pan Żochowski. — Chociaż Niemcy wszystkich ludzi wybili, to przyszli na ich majątki krewni i nową wieś wybudowali. A przecież Krassowo miało być zlikwidowane nieodwołalnie. Po spaleniu Niemcy zabierali nawet cegłę z kominów, banie wyciągali ze studni. Brzozy, o które pan pytał, to samosiejki. Wiadomo, że na pogorzelskich te drzewa najszybciej rosną.

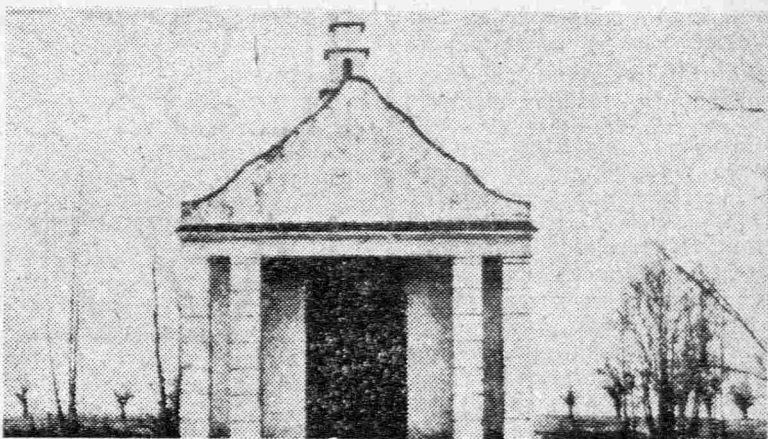
Spoglądając na kaplicę pan Żochowski dodaje jeszcze:

— Gdyby nie ksiądz Józef Kaczyński, nasz rodak, to by jej pewnie nie było. Jeszcze wsi nie odbudowywaliśmy, a on już zabiegał o upamiętnienie pomordowanych. Jego to pomysł z postawieniem kaplicy na pogorzelsku zagrody Jankowskiego. Ksiądz Kaczyński gromadził też wszelkie papiery o naszej wsi, zdjęcia pomordowanych, które wszyscy oglądają w kaplicy.

Moja rozmowa z księdzem Kaczyńskim, rezydującym w pobliskich Piekutach, niestety nie doszła do skutku. Pomimo ponad 70 lat ksiądz Kaczyński nie uląkł się podróży za ocean, by odwiedzić krewnych.

Zasługi księdza Kaczyńskiego w gromadzeniu świadectw zbrodni hitlerowskich w Krassowie-Częstkach podniósł w rozmowie ze mną prokurator Waldemar Monkiewicz, kierownik białostockiej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, jednocześnie autor wielu interesujących opracowań o tej tematyce. Za prokuratorem Monkiewiczem podaje także interesujący fragment zeznań ks. Kaczyńskiego o zbrodni w Krassowie-Częstkach.

„Kobiety, dzieci i starcy — zeznał ks. Kaczyński — zostali spędzeni do stodoły Stanisława Jankowskiego. W stodole polecono im położyć się



„Kaplica-pomnik fundacji ks. Kaczyńskiego Józefa w 1946 r. ku czci 257 mieszkańców wsi Krassowo-Częstki rozstrzelanych przez Niemców 17 lipca 1943 r.”. Taki napis widnieje na tablicy fundacyjnej kaplicy.

Repr. MAREK LOPIENSKI

twarzą do ziemi. Dniało już, gdy dwa groby były gotowe. Ci, którzy kopali, zostali zabici przy pomocy granatów. (...) Wzywano wszystkich według listy. W tym czasie ci, którzy siedzieli w stodole, śpiewali pieśni religijne. Każdej wywołanej rodzinie odbierano dowody osobiste, prowadzono nad grób i z pistoletu strzelano w tył głowy. Strzelali hitlerowcy z blaszanymi tablicami na piersiach. Po rozstrzelaniu pierwszej rodziny wieś podpalono”.

Stanisław Żochowski wspominał jeszcze o tym, jak ks. Kaczyński, władający biegle językiem niemieckim, będąc przed paru laty w RFN wygłosił kazanie w jednym z kościołów, opowiadał o tragedii wsi i co z tego wynikało. Ale to już odrębna historia...

Relacja gestapowca Macholla

Jakie były motywy zbrodni popełnionej w Krassowie-Częstkach wyglądającej na „typowe” zastosowanie przez hitlerowców zasady odpowiedzialności zbiorowej?

Hauptsturmfuehrer SS Waldemar Macholl zajmował się w białostockim gestapo zwalczaniem polskiego ruchu oporu. Sądzony po wojnie w naszym kraju m.in. zrelacjonował dokładnie kulisy zbrodni w Krassowie-Częstkach. Relację gestapowca Macholla zna-

liśmy w trudno dostępnej książce Aleksandra Omiljanowicza „Zanikające echa”, dlatego przytaczam jej obszerniejszy fragment.

„Pamiętam, że było to w pierwszych dniach lipca 1943 roku — wyjaśniał gestapowiec Macholl. — Zostałem poproszony do gabinetu doktora Zimmermanna, szefa gestapo na Białostocczyźnie, gdzie już byli obecni inni oficerowie gestapo. Obersturmfuehrer Plaumann, kierownik referatu «B», czyli do walki z partyzantką, odczytał meldunek, który otrzymał z komendy żandarmerii badającej w Wysokiem-Mazowieckiem. Jak wynikało z meldunku, gdzieś tam w terenie, nazw miejscowości już sobie nie przypominam, była potyczka żandarmów z partyzantami, w wyniku której zginęło kilku żandarmów. Zimmermann spytał mnie, a potem innych obecnych w gabinecie, czy wiemy jakie oddziały partyzanckie tam operują. Nikt z nas nie miał bliższych danych na ten temat. Szef polecił, żeby wskazać mu na mapie sztabowej, wiszącej na ścianie, w którym miejscu odbyło się to starcie z partyzantami. Plaumann szybko spełnił polecenie Zimmermanna. W pobliżu miejsca potyczki — jak to wynikało z mapy — leżało wiele wsi. Zimmermann chciał wiedzieć, która z tych wsi jest największa pod wzglę-

dem liczby mieszkańców. Ponieważ nikt z zebranych w gabinecie nie umiał dać na to odpowiedzi, Hauptsturmfuehrer SS Lothar Heimbach, szef oddziału IV białostockiego gestapo połączył się telefonicznie z komendą żandarmerii w Wysokiem-Mazowieckiem i stamtąd otrzymał informację, że kilka kilometrów od miejscowości potyczki z partyzantami jest jedna wieś, która liczy kilkuset mieszkańców. Nazwy tej wsi nie pamiętam.

Wtedy Zimmermann zdecydował, że Vergeitungsaktion będzie przeprowadzona w tej właśnie miejscowości. O większych egzekucjach, czy też zagładzie całych wsi decydował Standesgericht. Tak było i w tym wypadku. W tym dniu sądowi przewodniczył sam Zimmermann, a jego asesorami byli Heimbach i Erdbreuger. Protokół z posiedzenia sądu sporządził Plaumann. Zimmermann i jego asesory zawyrokowali, że cała ta wieś ma być zgładzona. Wykonanie wyroku powierzono wspomnianemu Heimbachowi. Miała ona być wykonana bodajże za tydzień, bo zachodziła obawa, że mieszkańcy tej wsi mogą mieć się na baczności i nie wszyscy dadzą się zaskoczyć..."

* * *

W ten sposób zapadł wyrok śmierci na wieś jedynie dlatego, że liczyła kilkuset mieszkańców. Mieli oni również „nieszczęście” mieszkać stosunkowo blisko miejsca potyczki patrolu Armii Krajowej z niemiecką żandarmerią. Patrząc z perspektywy czasu na zbrodnię popełnioną w Krassowie-Częstokach łatwo zauważyć, że wszelkie jej okoliczności były dla hitlerowców tylko dogodnym pretekstem do rozprawy z ludnością cywilną.

W podobnych sytuacjach hitlerowski okupant wydawał wyroki śmierci na setki innych polskich wsi. W ostatecznym rozrachunku przyczyny nie były ważne, liczyła się tylko zagłada wsi i ich mieszkańców.

LONGIN KACZANOWSKI

JEST JAZZ!

Jadwiga Karolczak

To była najdłuższa noc w ich życiu. Od dziewiątej wieczorem do piątej rano czekali na decyzję jury, skupionego nad grą ośmiu zespołów-finalistów. Doprawdy, nie jest łatwo ocenić nowoczesny jazz. W dodatku ci z Kiele wyskoczyli jak diabeł z pudełka. Nikomu nie znani, z nazwy chociażby, przewrotnej nieco — „Stan d'Art” — przeszli łatwo do finału po przesłuchaniu taśm z nagraniami dwudziestu sześciu zespołów. Więc gdy kwietniowy poranek rozjaśnił się dodatkowo blaskiem Grand Prix — nie wierzyli własnemu szczęściu. A potem był finałowy koncert festiwalu „Jazz nad Odrą'86”. I było uniesienie sali, ta zdumiewająca wibracja ducha i ciała, która sprawia, że jednoczą się we wspólnym przeżywaniu chwili muzycy i słuchacze. I wszyscy tańczyli ten jazz, o którym sceptyczni krytycy mówią, iż przestał być jazzem, ale może nim jednak jest, tyle że i teraz — jak na początku —

skutecznie wymyka się rygorom definicji i zaszerzegowań. Był i jest muzyką bez reguł i bez rutyny, albo — jak kto woli — „po prostu synkopowaną i kontrapunktową nieprzyzwoitością”, albo przyjdzie się zgodzić z Armstrongiem: „bracie, nigdy nie dojdiesz do tego, co to właściwie jest”.

* * *

Na początku był blues. A potem każda epoka jazzowa — od „tradycyjnej” przez swing — obrastała w najrozmaitsze style. Najnowszą — modern jazz — otworzył be-bop. I on, i późniejszy cool, także hard-bop i free — przeszły do historii. Zmieniali się czasy i upodobania, zmienili się ludzie. Został jazz. Zawsze otwarty, wciąż wspaniałe tworzywo do modelowania. Dzisiaj brzmia w nim wpływy rock and rolla, rhythm and bluesa, new black music, megapunk i punk, wreszcie loft — najnowszego nurtu nowo-

jorskiej młodzieżowej awangardy, nerwowej i zbuntowanej. I to wszystko słychać w kompozycjach „Stan d'Artu”. To i co „gra” w duszy pięciu muzyków: Dariusza Galona — skrzypka, Włodzimierza Kiniorskiego — saksofonisty, Mariana Zycha — gitarzysty basowego, Leszka Dziarka — perkusisty i Andrzeja Chochła — gitarzysty.

To nie jest łatwa muzyka: agresywna i liryczna zarazem, niepokojąca, natrętna, zaskakująca. I zapewne nie jest łatwo osiągnąć taki poziom techniczny gry, na jakim ulokował się „Stan d'Art”. Nie przez przypadek Włodzimierz Kiniorski „wygrał” na saksofonie nagrodę indywidualną dla wyróżniającego się instrumentalisty.

Początki jazzu w Kielcach? Kiniorski, Jabłoński, Gajewski. W ich pamięci, jako moment przełomowy, zapisał się koncert Makowicza w grudniu 1974 roku. Było to, jak mówią, publiczne wejście jazzu do kieleckiego życia muzycznego. Tak się zaczęło.

Później były warsztaty jazzowe „Radost”, wprowadzenie młodzieży w tę muzykę, zarażenie nią. W 1976 roku powstał Kielecki Klub Jazzowy. Później było granie w zespołach przypominających orkiestry swingowe. Najpierw grupa „Blejtram”, potem big band „Sunday”. To on pierwszy zdobył nagrodę za debiut na festiwalu „Jazz nad Odrą '78”.

Rozkreśliło się. W następnym roku, przy coraz większym gronie słuchaczy — kolejne sukcesy: wyróżnienie na wrocławskim festiwalu dla zespołu „Sunday Trio” i druga nagroda dla zespołu „Moko”. W tym czasie koncertuje „Tie-Break” z Kiniorskim — liderem. Wybuchła „Wiosna Jazzowa”. A później jest krótki zastój w graniu i słuchaniu.

W 1982 roku KKJ przekształca się w agencję koncertową z trzema etatowymi pracownikami. Startuje wspaniale. Przez Kielce przepływa fala nowoczesnego jazzu, zagar-

nia studentów i nieco starszych miłośników tej muzyki, którzy nareszcie mają to, co lubią. Są „Zaduśzki”. Powstaje „Stan d'Art”. Jak wiadać — wcale nie na ziemi jałowej. Odechodzi z Kielc „w świat” Artur Dutkiewicz — wyróżniający się pianista jazzowy młodego pokolenia. I Włodzimierz Pawlik, też pianista. Zasilają inne zespoły. Zostaje Kiniorski, zjawia się Galon. I jest w tym jakaś prawidłowość: jazz zawsze był muzyką „wędrowną”.

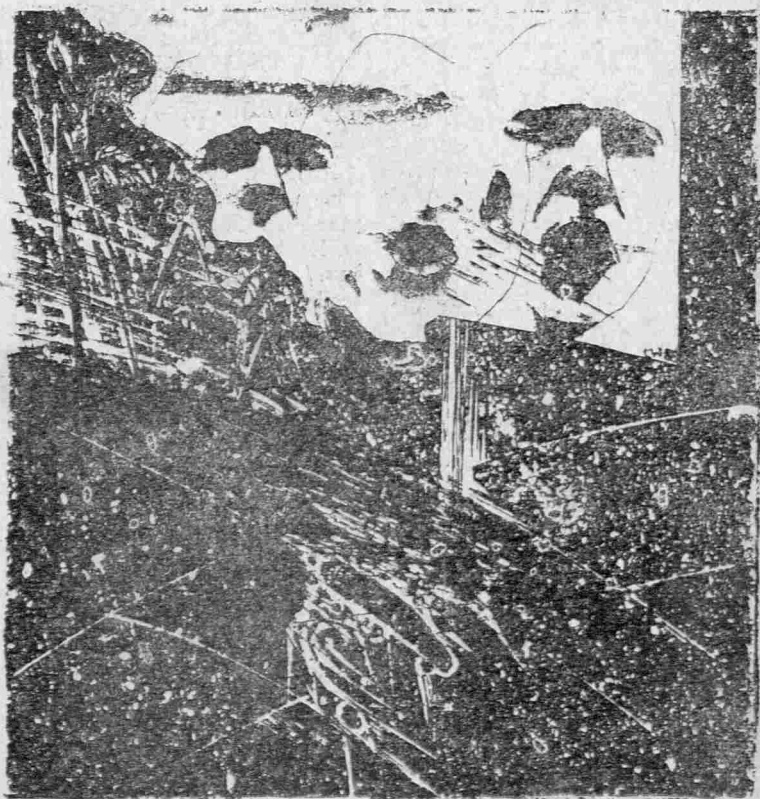
W kwietniu 1986 „Stan d'Art” przywozi z Wrocławia Grand Prix. Od maja trzej pracownicy KKJ biorą przymusowo bezpłatne urlopy, bo do braku funduszy na pensje dochodzą jeszcze przepisy prawne zabraniające pracować za darmo. Oni i tak będą, niby że na tych urlopach. Rzecz jasna do czasu. Do wyczerpania prywatnych zasobów, które wszak są skromne. Odejdą — nie odejdą? Tak czy siak,

pozostanie w Kielcach kłopot znacznie poważniejszy — jazz.

* * *

O Dariuszu Galonie mówią, że jest nawiedzony. Studiował w gdańskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, „wynajmował się” do grania w filharmoniach, bo przecież jakoś trzeba żyć. Trzy lata pod rząd, w czasie wakacji, grał na skrzypcach czardasze z węgierską orkiestrą w Miskolcu, no i wreszcie ma to, co lubi: komponuje i gra jazz.

W zeszłym roku odwiedził rodzinę w Kanadzie i owszem, popracował trochę, a całą „sałatę” ulokował — koń pęka ze śmiechu — w reklamie zespołu „Stan d'Art”. O, proszę: zapalczki w kartonikach, prosto z Ontario, za to z adresem KKJ i nazwą muzykującej grupy, długopisy „firmowe”, wizytówki muzyków i jeszcze jakieś suveniry, na które brakuje złotych, więc co za różnica, jeśli mógł zaro-



MAREK WAWRO — „Proszę o ciszę” (akwaforta)

bić i wydać dolary? Jak to — nie z tego nie ma? A satysfakcja, że ileś tam osób zapamięta nazwę „Stan d'Art”?

Takie kalkulacje rozwija Dariusz Galon, a ten i ów zakreśla wymowne kółko na czole, bo Galon na co dzień żyje ze stypendium. Właśnie studiuje w kieleckiej Wyższej Szkole Pedagogicznej wychowanie muzyczne i bardzo jest z tego zadowolony. Przeważnie wpada do znajomych w porze kolacji; studentom się nie przelewa.

— On żyje tutaj, w Kielcach, jak kiedyś żyli jazzmeni w Nowym Orleanie — śmieje się Jacek Gajewski, prezes KKJ. A Galon wcale nie protestuje. Na pytanie — czym dla niego jest jazz, odpowiada bez wahania: prawie wszystkim. I oświadcza promiennie, że dopiął swojego. Bo kiedyś obiecał kolegom z zespołu, że zagrają na Jazz Jamboree i teraz, jako laureaci „Jazzu nad Odrą” mają do tego prawo. I wyruszą w trasy. Po Polsce i Europie. I nagrają płytę. I będą mieli kolorowy plakat za te sto tysięcy nagrody. Plakat i folder, bo Wydział Kultury i Sztuki kieleckiego Urzędu Wojewódzkiego obiecał trzydzieści tysięcy wsparcia, zadowolony zapewne z tego Grand Prix, więc się zsumuje wszystko razem i chyba wystarczy.

I jeszcze by się pograło w Kielcach, bo jest dla kogo, tyle że nie ma gdzie i za co. Do maja „Stan d'Art” zarobił tyle na koncertach, że każdemu muzykowi przypadło niespełna dziesięć tysięcy złotych miesięcznie. Dariusza Galona nie zraża i to, bo — mówi — jazz gra się dla przyjemności. Dla ludzi, którzy przyszli i najwyraźniej oczekują od tej muzyki czegoś dla nich ważnego. I gdyby porównać sytuację z resztą Polski i resztą świata, gdzie na afiszach napis „jazz” zakleja się skrzętnie bo „foszy” publiczność — w Kielcach nie jest źle. W klubach studenckich, w „empiku” przy ulicy Szkolnej i w „Merkurym” zawsze jest dla kogo

grać. Tyle że jest to wciąż ten sam krąg słuchaczy, bez skłonności do rozszerzenia. Nie tylko dlatego, że jazz okresowo mniej modny. Głównie dlatego, że nie ma ani reklamy, ani warunków do uprawiania muzyki, która na świecie jest równoprawna z poważną, choć mówienie tego u nas zakrawa jeszcze na herezję.

* * *

Jacek Gajewski nie jest muzykiem. Już jako inżynier budowlany zaczął podejrzewać, że będzie — być może — bardziej przydatny dla jazzu, w czym upewnił się podczas praktyki po studiach. Z jazzem był zżyty od dawna, zna środowisko i ma tak zwane wejścia. Najważniejszy dokument prezesa KKJ to kajet z adresami i telefonami muzyków w całym kraju. Jeszcze dwa lata temu niemal wszystkie liczące się zespoły jazzowe koncertowały w Kielcach, co bez wątpienia podkreśla rangę kajetu, ale także zasobność klubowej kasy. Ożywiła się publiczność, bo działa się coś, co ją elektryzowało. Właśnie przed dwoma laty powstał „Stan d'Art”, co także było wydarzeniem.

Później w branżę sztuki i rozrywki wpłatała się reforma gospodarstwa, co dla jazzu w Kielcach musiało się skończyć źle. Głównie z tego powodu, że nie dysponując „bazą”, czyli lokalem, KKJ nie może zarobić na siebie. Z trudem wysupiał dla „Stan d'Artu” szesnaście i pół tysiąca złotych na przygotowanie nagrodzonego we Wrocławiu programu i do maja zwróciło się zaledwie osiem i pół tysiąca. Z koncertów, które są tanie. Drogich nie kupi żaden klub, bo nie dysponuje stosownymi funduszami.

Do tej pory KKJ urządził się chytrze: zarabiał na dużych, masowych imprezach w hali, dbając zresztą o ich poziom, żeby pod dobrym szyldem nie przeciętna się trywialna chaftura. Ot, na przykład za koncerty TSA można było odłożyć trochę grosza na

dopłaty do mniej masowych, ale za to bardziej wysmakowanych prezentacji jazzowych i zostawało jeszcze na potrzeby własnego zespołu. Wyrażnie było widać, że w Kielcach jazz nabiera rumieńców, toteż tutejsze „Zaduszki” zostały wpisane przez Polskie Stowarzyszenie Jazzowe do kalendarza imprez ogólnopolskich. W Kielcach też, dzięki rzutkości KKJ, udało się ulokować „Moogowisko”. I ono, i „Zaduszki” są w założeniu deficytowe, bowiem wpływy ze sprzedaży biletów nie są w stanie zrównoważyć kosztów. To znaczy — można podnieść ceny do granic nawet absurdalnych, ale bilety zostaną w kasie. Publiczność jazzowa nie składa się, niestety, ani z właścicieli butików, ani udziałowców spółek polonijnych.

Z biegiem czasu i z biegiem reformy, która narzuca tak zwane samofinansowanie się, agencje powołane do oferowania rozrywki zaczęły ze sobą konkurować, co w założeniu nie jest złe. Tyle że KKJ do — na przykład — „Estrady” ma się tak, jak mrówka do słonia. Jacek Jabłoński, sekretarz Zarządu KKJ utrzymuje na podstawie obserwacji, że w pogoni za widzem i słuchaczem przepadł gdzieś po drodze poziom. Żeby wypełnić kasę przygotowuje się programy dla „przeciętnej” publiczności, co w końcu na dobre wychodzi tylko kasie.

— Upadł rynek muzyczny — ubolewa Jacek Jabłoński. — Coraz częściej widzi się składanki w starym stylu: skąpo odziane panienki z piórami, niezbyt świeże dźwięki, iluzjonista z królikiem w cylindrze i jakaś piosenkarka na osłodę. To jest duży szmal, więc znajdują się i znane nazwiska. Jeżdżą po kraju różne „sekscesy” i „jarmarki”. Cena biletu — siedemset złotych. To wszystko poprzedzone jest reklamą, prasowym szumkiem, można liczyć na dopłatę z funduszu zakładowego. A kto dopłaci do jazzu?

Ostatnią szansą KKJ jest halowy koncert „Wałów Ja-

giellońskich". Jeśli bilety będą sprzedane — zarobi się na dług, który w tej chwili wynosi sto tysięcy złotych. W PSJ. W przypadku klapy — KKJ przestanie istnieć.

Skutek tego zadłużenia jest taki, że trzy osoby zatrudnione w kieleckim klubie (czyli wszystkie) nie biorą pensji od marca. Pracują za darmo. Jacek Jabłoński sprzedał magnetofon i przewiduje sprzedaż miniwieży stereofonicznej. Powiada, że przeżyje. W końcu i tak jazz jest najważniejszy. Dla Gajewskiego też. Nie tylko Galon jest nawiedzony.

* * *

Czekają. Wierzą w swoje możliwości i w swoją muzykę. Już tyle było na nią zamachów! W 1918 roku nowo-orleański „Times-Picayune” pisał: „Nasz honor obywatelski wzywa nas do zniweczenia muzyki zwanej przez hołotę i plebs jassem!”. A on przetrwał. Gdy wyrzmiły ostatnie dźwięki kompozycji „Stan d'Artu” na tegorocznym wrocławskim festiwalu, podszedł do Galona z widowni amerykański konsul i powiedział: — Dziękuję. To była muzyka mojego miasta. Jestem z Nowego Jorku. No a Galon przecież całkowicie swojski, to znaczy, że jazz jest dla wszystkich jeden i że w ogóle jest. Czy przetrwa w Kielcach?

Przyszłość KKJ, a z nim po trosze i „Stan d'Artu”, zależy od pomieszczenia. Bo jazz trzeba gdzieś grać. Nie w hali, bo okropnie drogo i bez przesadnej nadziei, że w klubach kulturalnych, ponieważ one nie mają pieniędzy na koncerty. Mówiąc wprost — w Kielcach potrzebny jest klub jazzowy z prawdziwego zdarzenia. KKJ siedzi kątem w małym pokoiku przy Wojewódzkim Domu Kultury.

Za obecnością klubu, poza sympatią dla jazzu, przemawiają także względy natury towarzyskiej. Kielecka młodzież zupełnie nie ma gdzie się spotykać i nie ma w mieście jednego miejsca, w któ-

rym — poza filharmonią, ale to całkiem inna sprawa — można by było posłuchać godziwej muzyki, co w pewnym wieku jest niemal organiczną potrzebą.

Koncerty w klubie byłyby tanie, bez dodatkowych narzutów za wynajem sali czy organizację widowiska. Byłoby ich dużo, bo jazzmeni chcą grać w Kielcach. Mówią, że tutaj gra się świetnie, że jest wspólna publiczność. Dowodzą tego „zaduszkowe” koncerty w filharmonii i nocne maratony w klubach studenckich. Frank Foster tutaj właśnie urządził sobie pożegnanie z zespołem „Pori Jazz”. Kto był — nie zapomni. Wreszcie Kielce leżą na trasie wędrowek jazzmenów z Warszawy do Krakowa i Jacek Gajewski często jest pytany, czy reflektuje na występ jakiegoś zespołu. Dobrego. Cenionego. Znanego. Tylko gdzie on ma zagrać? Gdzie te czasy, kiedy miss Lulu White, właścicielka Mahogany Hall w nowo-orleańskiej Storyville, czy słynna Josie Arlington z Basin Street mienowały jazzowi z korzyścią dla niego i swoich domów — delikatnie mówiąc — niekoniecznie prywatnych?

Przetargi o miejsce dla klubu w Kielcach mają już całkiem bogatą historię. Były możliwości ulokowania go „U Sołtyków”, ale PSS „Społem” kategorycznie odmówiła. I słusznie. W tej kawiarni kipi przaśny folklor, po co mu przeszkadzać, zwłaszcza że PSS najwyraźniej w nim gustuje. Inne miejsce, to stare magazyny przy ulicy Orlej. Walka o nie trwa już trzy lata i po dziś dzień stoją puste. Bo trudno jest podjąć ostateczną decyzję, czy ma mieć w nim skład „Unitra”, czy jazzmeni miejsce do muzykowania. Dla zmylenia stron przyznaje się pomieszczenie przemienne: raz jednym, raz drugim. W końcu nikomu.

Ostatnia propozycja, chyba najlepsza, kusi jazzmenów najbardziej: oto może im przypaść w udziale pomieszczenie w dawnym Domu Rzemieślni-

ków, przy placu Partyzantów. Punkt znakomity, więc oni już sobie wyobrażają Boga wie co: klub studentów całą gębą, jak jakie „Jaszczury” czy „Akwarium”, a oni w nim — pełnoprawni współgospodarze. I myślą jeszcze, że Grand Prix „Stan d'Artu” pomoże im w tym zamachu. A może pomoże?

* * *

Zyja bez pieniędzy, z łaski. Nie rozpychają się, nie żądają. Są wszystkim wdzięczni, wszystkim za wszystko dziękują. Dyrektorowi Karolowi Anbildowi za salę, bo bez sali filharmonii i to sali użyczonej za darmo, nie byłoby mowy o „Zaduszkach”. Dyrektor Anbild jest muzykiem, a muzyk rozumie to, czego urzędnik nie jest w stanie pojąć.

Rektorowi Mirosławowi Niziurskiemu z WSP, bo rektor Niziurski pozwala korzystać ze sprzętu, z instrumentów i daje w Instytucie Wychowania Muzycznego salę na próby. Ale rektor Niziurski też jest muzykiem i w dodatku interesuje go jazz.

Zespół „Stan d'Art” zawdzięcza dodatkowo dyrektorowi Bogdanowi Pasternakowi perkusję, pożyczoną do nagranych wysłanych na eliminacje „Jazzu nad Odrą”. Wprawdzie na tej perkusji i tak w Domu Środowisk Twórczych nikt nie gra, ale przecież dyrektor Pasternak mógł nie dać. Dał pod warunkiem, że zespół zagra darmowy koncert. Oczywiście — zespół zagra. Mogłoby cześciej, ale podobno jazz nie nadaje się do pałacu. Jazzmeni podejrzewają, że dyrektor Pasternak nie jest muzykiem i już się nie będą napraszać.

Przecież chcą gdzieś grać, bo jakż to jazz bez grania? Żeby to pojąć — niekoniecznie trzeba być nawiedzonym, choć szczęście prawdziwe, że i takich nie brakuje. Niech grają.

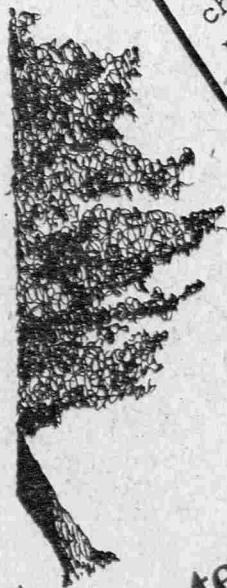
□

JADWIGA KAROLCZAK

Józef Ozga. Michalski

Ptaka dotrzymanego sekretu

Biorę cię w dłonie słowiku wczesny,
Będziesz nad wodą w rozlicznych skrzętach
chłopaków liczył, szyje im pętał
przez płochę panny, zabiegi tajne
będziesz oczyszczał miłości stajnie,
aż skwarne lato i sucha jesień
do kości spię całusów szerszeń.
Aż pod stopami, gdy się to zdarzy
dwa młode jeże zaczną się parzyć,
aż pod pachami będą się pierzyn
młode jaskółki twoje tajne sekrety,
jak aksamitne skryją się krety,
głęboko w glebę, do tych korzeni,
których nie wyrwiesz po śmierci z ziemi.



Cztery i pół trenowanie u mistrza

Rola poety,
miód mieszać z wodą,
potem go znowu
wykwiecać,
wypuszczać pszczoły,
znosić do ula
sobie
zostawiając żądło.

Cztery i pół

Mineły cztery w
dokładnie czter
jak poeta Jan
rzucił wiersz
Znacie ich
i na dworze
ciągi w
a na dworze
czyli
coż
na
na

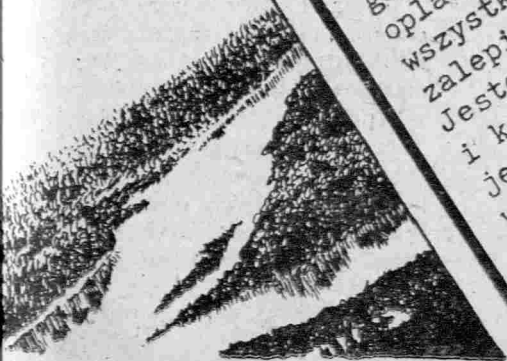
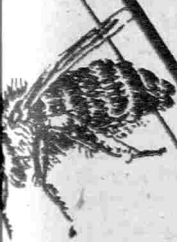


Chwilowość korzenna

Piję ją jedną pszczołą
do ostatniego pyłka,
jednym spojrzeniem ją widzę
od spodu, aż do wierzchu
i słyszę jednym ciągiem
ode - wschodu do zmierzchu.
Czy też ja dzwonię w twoim,
czy też ja przerywam w moim
ty wszystko i przeciągle
tak jasno i jak świeca,
jak pszczoła i jak świeca,
jak róża, gdy jest w żądle,
a żądło ją dokwieca.

Słowo na trumnę

Drzewo zabija drzewo,
gwiazda gasi gwiazdę,
nic teraz głowa moja
nie rozumie.
Jakże ja z gardła wyjmę
treny na jej trumnę,
gdy ciemności kraczące
oplatają szyję,
wszystkie gwiazdy zgaszone
zalepią oczy.
Jestem ślepy
i kończę swój pochód
jej trupem,
wątpię w życie,
które się żywi taką strawą,
wątpię w głowę,
co trzyma
te ślepe nożyce.



„Dan w naszym miasteczku Kielce”

Wacław Urban

Kto pisał listy na Kielecczyźnie w dawnych wiekach? Na pewno nie stanowiący 70 proc. ludności chłopci, bo ci pisać nie umieli; mieszczaństwo także rzadko, gdyż w większości byli analfabetami. Szlachcice korespondowali zapewne nieraz, ale ich listy uległy przeważnie zatrzaśnięciu. Np. Mikołaja Reja z Nagłowic zachowało się półtora listu (i jeden jego syna — też Mikołaja).

Z KORESPONDENCJI magnackiej pozostało już więcej, np. ostały listy Gabriela Tarły do księcia pruskiego Albrechta czy też wzajemna korespondencja słynnych literatów i właścicieli Rytwian, Krzysztofa i Łukasza Opalińskich. Ale najczęściej zachowało się chyba po najbogatszych posiadaczach ziemskich Kielecczyzny — biskupach krakowskich (diecezja kielecka i sandomierska powstały dopiero w XIX w.). Biskupi krakowscy mieli, zwłaszcza aż do końca XVIII w., trzy swe rezydencjonalne miasteczka, a to Bodzentyn, Iłżę i Kielce, gdzie wśród masy dworzan spędzali najspokojniejsze chwile swego życia

(bywał na tych dworach także Jan Kochanowski, a może i Rej, który choć sympatyk różnowierstwa, był przecie krewniakiem biskupa Piotra Gamrata). Na dworze kieleckim przebywał też wielce uczony prałat Wawrzyniec Goślicki, najslawniejszy — dzięki swej książce „O najlepszym senatorze” — podówczas Polak w Anglii.

Niektórzy z biskupów w ogóle nie chcieli wracać do Krakowa, którego klimat — tak fizyczny, jak i duchowy — im nie odpowiadał. Takim był np. w drugiej połowie XVI w. gruzlik, a zarazem człowiek pełen wyrozumiałości wobec grzeszników i nawet „heretyków” Franciszek Krasiński.

Biskup ów zmarł w Bodzentynie, gdzie też ma pomnik nagrobny. Wczesnooświeceniowy znów biskup Andrzej Stanisław Załuski w połowie XVIII w. właśnie w kieleckim zamku zbierał załączki Biblioteki Załuskich i w zbieranych dla całej diecezji tabelach statystycznych kazał przy każdej parafii podawać odległość od Kielc w milach. Tak więc ten trójkąt biskupi w Górach Świętokrzyskich był nieraz całymi miesiącami ośrodkiem administracyjnym i sądowym diecezji, która rozciągała się na ogromnych obszarach od Siedlec do Pszczyny.

Najwięcej jednak listów zachowało się po pełnym jaśniejszych i ciemniejszych barw biskupie naszego Odrodzenia Piotrze Tomickim (ok. 1470—1535). Na biskupiej stolicy krakowskiej siadł ten Wielkopolanin dopiero w 1524 roku, ale już w końcu poprzedniego wieku bawił się wykładaniem filozofii na Uniwersytecie Krakowskim, na przełomie wieków zastąpił wstrzemięźliwością na rozpustnym dworze królewicza biskupa-kardynała Fryderyka Jagiellończyka (tego, co nadał herb miastu Kielcom), zaś już w 1515 r. został podkanclerzem koronnym. Dziełem Tomickiego były m.in. pokój z Habsburgami i hołd pruski ks. Albrechta, są to jednak fakty historyczne bardzo rozmaicie oceniane. Bezsporne jest tylko, że Tomicki był bardzo kulturalnym człowiekiem i mecenasem Renesansu, a zarazem obrońcą katolicyzmu przed niebezpieczeństwami okresu Reformacji.

Uchronił listy swego ukochanego pana od zagłady jego sekretarz — ks. kanonik Stanisław Góski, m.in. proboszcz w Kunowie, który nawet listy Tomickiego blażej treści zachowywał w swoich „Tekach” (przechowywanych obecnie w Bibliotece Narodowej w Warszawie), inne zaś kazał przepisywać kilku skrybom zatrudnianym w jego domu na Wawelu.

Przebywając całymi miesiącami w Górach Świętokrzyskich (które były wtedy przynajmniej o kilka metrów większe, a w każdym razie Jan Długosz nazywał je najwyższymi w Polsce) datował Piotr Tomicki swe łacińskie listy: „w miasteczku naszym Kielce” czy też „ze zamku naszego boddzentynskiego.” Większość zachowanych listów biskupa-podkanclerzego ukazała się w siedemnasto-, a właściwie osiemnastotomowym wydawnictwie „Acta Tomiciana”, które drukowano w latach 1852—1966, a obecnie nie ukazuje się, gdyż zabrakło ludzi, którzy mieliby dostateczną ilość wiedzy, pracowitości i wolnego czasu, żeby je kontynuować.

My tutaj zajmujemy się kielecką korespondencją Tomickiego tylko na podstawie trzech ostatnich wydanych woluminów, które dotyczą lat 1534 i 1535, a więc okresu, kiedy stary i chory Tomicki krył się chętnie w cień Łysicy. W pierwszej połowie roku 1534 jeden list biskupa pisał był z kasztelańskiego Żarnowa, 25 z Kielc, a 24 z Bodzentyna, przy czym pobyt w naszych stronach trwał od 29 stycznia do 22 marca. W drugiej połowie owego roku Kielce występują 44 razy, a podwislicka Dobrowoda raz. Na koniec w 1535 r., kiedy to już w sierpniu biskup spisał testament, a 29 października pożegnał się w Krakowie ze światem, spędził Tomicki w naszych stronach swą ostatnią wiosnę: 70 razy pisał z Kielc, 66 z Bodzentyna i raz z Dobrowody. Pod Łysicą pozostawał wtedy od początku grudnia 1534 do końca lipca następnego roku.

Czemu nie zajeżdżał podówczas biskup do Łży? Może przebywała w tamtejszym zamku jakaś kielecka brygada remontowo-budowlana i nie nadawała z robotami? Położona w żyznej okolicy Dobrowoda była znów ulubionym miejscem „wczasów pod gruszą”

biskupów krakowskich. Np. o dwadzieścia lat późniejszy Andrzej Zebrzydowski (którego matka ma piękny renesansowy nagrobek w katedrze kieleckiej) przetrzymywał tam swą kochankę.

Krewniak Tomickiego, Zebrzydowski, był znany z lenistwa, on sam jednak — z pracowitości. W naszych latach ks. podkanclerzy przebywając niby na wypoczynku w Górach Świętokrzyskich pisał nieraz po kilka sążnistych i ważnych listów dziennie, przemieszczając się nawet czasem jednocześnie z Bodzentyna do Kielc. Było to możliwe tylko poprzez rozporządzanie grupą świetnych sekretarzy, którzy właściwie te listy pisali, a Tomicki dawał tu tylko sugestie treści, przeglądał i podpisywał. Nieraz listy owe adresowane były do ważnych osób, jak np. królowa Bona (która zresztą serdecznie Tomickiego nie znosiła), Jan z książąt litewskich, nielegalny syn Zygmunta Starego czy też awanturnik na europejską miarę i założyciel miasta Staszowa, Hieronim Łaski (który też należał do przeciwej biskupowi partii).

Listy Tomickiego pisane z Kielecczyny pełne były wielkich spraw sięgających Słabu, Wiednia czy Rzymu, a przynajmniej Krakowa i Wilna, lokalnych zaś kwestii było stosunkowo mało. Dla zobrazowania, jak to wyglądało, przytoczmy pochodzące od wydawców streszczenie listu do niesłuchanie ciekawego człowieka Stanisława Borka. Pochodził on ze szlacheckiej rodziny z Trzcięcia pod Jędrzejowem i był geniuszem w dobrym gospodarowaniu i robieniu pieniędzy, ale także w pożytecznym ich wydawaniu. Ten kanonik katedralny i dziekan krakowski utworzył całą sieć stypendiów dla studentów uniwersytetu (do której dołączyli potem w XVII wieku ze swymi zapisami, jeśli chodzi o Kielce, Maciej Oblomkiewicz i Kasper Słowik) oraz zasłużył na piękny nagrobek na Wawelu (obok królów).

A oto treść tego listu pisanego z Bodzentyna 6 kwietnia 1535 r.:

„Przybył wczoraj z rzecząmi od niego Kolanowski oraz Jarzębowski z Rzymu z listami, które mu przesyła; widzi, że Rzeczyca (słynny podówczas polski karierowicz duchowny w Rzymie) zaniedbuje swe obowiązki i nie oddał listu królewskiego; gani włodarza sądeckiego, że nie sprowadził dlań wina; przesyła mu pozew w sprawie domu oddanego bernardynom — niech tą sprawą zajmą się Uchański (późniejszy prymas) i Lutomirski i postarają załagodzić; poleca mu zapłacić za koło przewiezione do Kielc; Jarzębowski przywiózł niesłuszne monitorium papieskie przeciw plebanowi w Końskich (zapełne chodzi o Andrzeja Konieckiego); kapelanowi szpitalnemu w Krakowie dał swe pełnomocnictwo; polecił J. Wilańskiemu (słynny dyplomata polski) szykować się w drogę do Rzymu; a Dłuskiemu do Wenecji; dr Adam Brzezina pisał mu z Padwy o chorobie i długach B. Świdwy (krewnego biskupa); poleca mu przysłać lekarstwa dla Szydłowieckiej wdowy, wino oraz zamówić mykę.”

Po tym przekrojowym szkicu zawartości korespondencji „kieleckiej” przejrzyjmy przykładowo „na wrywki” kilka innych listów. Oto 1 lutego 1535 r. biskup posyła z Kielc swietnemu lekarzowi krakowskiemu Janowi Antoninowi (z pochodzenia Węgowi ze Słowacji) świętokrzyską dziczyznę, prosząc go o sprowadzenie lekarstw z Włoch, jeśli ich nie ma w Krakowie (skąd my to znamy?). Żubrów już jednak chyba wtedy na Kielecczynie nie było, gdyż 7 lutego 1534 r. dziękował Tomicki hetmanowi Janowi Tarnowskiemu za przesłane z Rusi do Kielc mięso żubrze (a kto nam teraz takowe przysłał?).

Już 3 lutego owego roku pisał biskup do proboszcza gnieźnieńskiego Jana Łaskiego

młodsze, że udał się do Kielc, żeby wypocząć po trudach sejmowania w Piotrkowie. Ciekawy jest tu także adresat, który potem ożeniwszy się z mieszczką holenderską stał się najzagorzalszym wrogiem katolicyzmu i zmarł w „heretyckim” Pińczowie w 1560 r.

Czasem wychodzą jednak interesujące sprawy lokalne. Np. 10 lutego 1534 r. proteguje Tomicki u prymasa Macieja Drzewickiego z Drzewicy jakiegoś Jana Wolskiego, ziemianina spod Kielc, w sporze z pewnym księdzem (już Chęciny należały do archidiecezji gnieźnieńskiej!). W liście z 11 lutego 1534 r. jest znów wzmianka, że biskup przebywając latem ubiegłego roku w Sandomierzu godził tam dwóch magnatów.

Ciekawe sprawy sandomierskie ujawniają się w wydrukowanym o parę kartek dalej liście do doktora królewskiego, Włocha, Jana Andrzeja de Valentini, między innymi proboszcza sandomierskiego. Jan Andrzej zapytywał biskupa, dlaczego usunął z jego dworu w Sandomierzu niejakiego księdza Białego, na co Tomicki odpowiedział, iż „ks. Białą prowadził w tym domu gorszący tryb życia, utrzymywał konkubinę i zanieczyścił swe obowiązki w kolegium mansjonarzy, gdy więc w lecie 1533 r. wizytował kler sandomierski, nakazał ks. Białemu przenieść się do kolegium mansjonarzy...”

Na intensywność życia w ówczesnych Kielcach wskazywałby list z 13 lutego 1534 r. do znanego już nam Borka. Pisze tam biskup: „Wczoraj o trzeciej w nocy przybył jego kapelan Grzegorz i po doręczeniu listów przedłożył mu po kolei złączone sobie sprawy.” Wynikałoby, iż biskup o 3 w nocy urzędował, a ktoś z naszych wyższych urzędników obecnie o takiej porze przyjmuje interesantów? Sugestie wskazujące na marazm jakoby obecnych Kielc wobec szes-

nastowiecznych łagodzi jednak kwestia innego podziału doby. Podówczas dzielono ją na 12 nierównych godzin dziennych i tyleż nocnych. Nocne zaczynały się od zmroku i z początkiem lutego były dłuższe od dziennych, tak więc godzina trzecia przypadała wówczas na coś, co moglibyśmy nazwać późnymi godzinami wieczornymi.

W tymże liście z 13 lutego ciekawe są jeszcze kwestie wyżywienia. Otóż aż w Krakowie musiał biskup nabywać beczkę oliwy, „której zwykle używa do potraw przez cały rok” (wzorem włoskim). Tam też prosi Borka o zakup migdałów, suszonych winogron (rodzynek) itd.

4 marca 1534 r. zajmował się Tomicki w listach do króla Zygmunta I i jego urzędników protegowaniem na plebanię w królewskim mieście Radziszewach niejakiego ks. Stanisława z Modliszowic. W liście z Bodzentyna 19 marca zajął się już poważniejszymi sprawami: zgonem wielkiego księcia moskiewskiego i protegowaniem hetmana Jana Tarnowskiego na inne najwyższe godności państwowe.

Ze względów językowych szczególnie interesujący jest list z Kielc 14 grudnia 1534 r. do królowej polskiej Jadwigi. Wydawano ją wtedy za Niemca, margrabiego brandenburskiego Joachima II, z czego królewska córka nie bardzo była uradowana, choć miała „już” 21 lat, a więc groziło jej staropanieństwo. Ksiądz podkanclerzy starał się jej wytłumaczyć, że to tylko dla jej dobra, a że była słabą kobietą, zdecydował się wyjątkowo użyć polszczyzny, zaczynając w te słowa:

„Najjaśniejsza Królowo, panno mnie miłościwa, po zaleceniu służby i modlitwy mojej w łaską Waszej Miłości. Andrzej słuzebnik Waszej Miłości przyjachawszy tu do mnie oznajmił mi jest żądosc i rozkazanie Waszej Miłości...”

Tłumaczył Tomicki niepokornej dziewczynie potrzebę hohenzollernowskiego małżeństwa, które „niewdziacznie przyjmować raczyła.”

W zasadzie małżeństwo najstarszej legalnej córki królewskiej było nieudane. Nie umiała się jako katoliczka dogadać ze swym luteraniskim niebawem mężem, który ją zresztą porzucił, gdy okulała spadłszy z konia. Ale właśnie dzięki swej pierwotnej córce jest Zygmunt I jednym z przodków dziś miłościwie panującej Elżbiety II, królowej angielskiej!

Listy kieleckie z 1535 r. rzucają znów światło na religijność szesnastowieczną. Np. list z 1 marca donosi o tym, że z pielgrzymką do Loretto i Jerozolimy wybrał się starosta checiński Hieronim Szafraniec. Był to wdowiec po nielegalnej córce królewskiej Reginie i nie wiadomo ile w tym wyjeździe było pobożności, a ile celów turystycznych czy nawet politycznych. Sprawy religijne mieszały się w sposób oczywisty w podróży wielmoży z najstarszego rodu małopolskiego Andrzeja Teczynskiego. Powróciwszy z Ziemi Świętej udał się on na pielgrzymkę na Święty Krzyż, ale jednocześnie wybrał się z wieściami z Turcji do biskupa-podkanclerzego do Bodzentyna.

W Bodzentynie w kwietniu 1535 r. zabierał się już powoli Piotr Tomicki do żegnania ze światem (jak to ładnie napisał potem Rej) i do załatwiania ostatnich spraw. 2 kwietnia pisał np. do piętnastoletniego Zygmunta Augusta, którym — jak zrzędził — opiekowali się zepsuci Włosi: „że nie wystarczy królem się urodzić, ale trzeba się nauczyć rządzić”. I tu chyba jest ziarno aktualnej mądrości: nie wystarczy obywatelem się urodzić, ale trzeba nauczyć się nim być.

ZAPOWIEDZIANO, że po uzupełnieniu paliwa jutro — na sicher — wyruszamy w stronę Caen. Czas najwyższy. Kilka serii pocisków z „organów Stalina” poświadczyło, że po tamtej stronie ktoś o nas pamięta.

Na obiedzie gościliśmy francuskiego księdza. Jego kościółek z rozwaloną boczną nawą, znajdował się wraz z plebanią tuż za kępą drzew i krzewów. Całą wioskę Niemcy ewakuowali, a o nim — może celowo — zapomnieli. Przez cały czas inwazji nie wychodził z kościelnej piwnicy nie wiedząc w jaki sposób Anglicy go potraktują. Żył jabłkami i serem przez miesiąc. Ponieważ ten prowiant mu się skończył — niechaj się dzieje co chce — wyszedł z piwnicy konfrontując się z Polakami! Radości było co niemiara!

Nasz francuski pater noster — typ z opowiadań Guy de Maupassanta — podochocony pierwszym gotowanym obiadem od miesiąca, wyraził życzenie i prośbę odprawienia mszy na intencję i pożytek nasz zbawienny szczęśliwego powrotu w całości do Ojczyzny. Któżby mógł odmówić tej szlachetnej intencji!

Poprzez pole pszenicy doszliśmy do kościółka. Nie był zbyt zrujnowany. Jakiś kartacz wyrwał dziurę w sklepieniu bocznej nawy i to wszystko. Ale ile kurzu z wapiennego tynku i z pokruszonych cegieł, potamanych krzesła i ław w uszkodzonej nawie... Wapienny, biały kurz osiadł warstwą co najmniej centymetra grubości na wszystkich.

Ksiądz, zamiatając sutanną, udał się do zakrystii, a za nim nasz Janusz Olszewski jako ministrant, który miał przysposobić księdza do liturgicznego obrzędu. Rozległ się dzwonek. Wyszli Janusz z mszałem (bez pistoletu u pasa, mówił nam później, że nie chciał Boga obrażać bronią przy ołtarzu) a za nim ksiądz w komży i ornacie. I tak rozpoczęła się msza na intencję powrotu I Dywizji Pancerniej do Ojczyzny.

Któryś z kucharzy — bo i oni także przyszli — wszedł na dzwonnice. Głos dzwonu popłynął poprzez pola i łąki, poprzez kartofliska i zagajniki docierając do wszystkich żołnierzy z dywizji rozrzuconej w terenie. Brać pancerna zaczęła zapełniać kościółek. Jednych wiodła pocztowa intencja, innych ciekawość. Przyszli Kanadyjczycy, znalazł się organista z pułku pancernego,

TO POLAND AND VICTORY

Normandzkie spotkania

Józef Z. Głogowski

go, no to i ja, jako ten co kiedyś śpiewał w chórze, zgłosiłem moją gotowość.

Głosu śpiewaka to ja nie mam i nigdy nie miałem; ot przyciszony tenor z chóru rewelersów z Radomia to wszystko. Ale zawsze pragnieniem moim było występować solo czy to w kościele, czy na jakiejś akademii. I tutaj, na polach Normandii, we Francji podczas wojny — przed bitwą! — miało się spełnić moje marzenie z lat młodości. Odśpiewałem:

„O Władco świata wiekiusty
Boże,
Ty co nas wszystkich życie
masz w swej mocy”...

W kościółku cisza jak makiem zasiał. Wszyscy słuchali, a organista zakończył rzewną, minorową tonacją. Przy końcu mszy ze wszystkich gardeł wydarł się potężny śpiew: „Boże coś Polskę”. Była to może jedyna msza w dywizji podczas wojny na Zachodzie.

Podniesieni na duchu wyszliśmy z kościoła jak ze młyna: każdy utyłany na białą aż do kolan.

Znów przyszedł rozkaz, abysmy podciągnęli do przodu. Nie daleko, może kilometr lub dwa, ale zawsze coś się dzieje! Byliśmy zadowoleni wiedząc, że niezadługo lotnictwo brytyjskie „zmieńczy” front wokół Caen i wtedy ruszymy do przodu. Zmiekczenie przyszło około godziny 22.00 i tak fala za falą

do godziny drugiej trwało lądowanie w Caen i okolicznych wioskach.

Tu chcę opisać przypadek ilustrujący, jak to Anglicy zawsze wyjdą na swoje.

W starożytnej katedrze w Caen znajduje się grobowiec Wilhelma Zdobywcy, który pamiętnego roku 1066, na czele plemion Normanów i Franków, w miejscowości Hastings na południu Anglii zabił jej króla, Harolda, strzałą pierzastą w oko. Podczas nocnego bombardowania przez brytyjski RAF katedra bardzo ucierpiała. Wiele cennych zabytków obróciło się w ruinę, a wielka kamienna płyta na grobowcu Wilhelma Zdobywcy została odrzucona odstawiając sarkofag wielkiego pogromcy Anglików. W ten sposób Anglicy odplacili haniebną i krzywdzącą zniewagę sprzed prawie dziewięciu wieków.

Zanim bombardowanie ustało, nasze pułki już były na przedzie wraz z 4 dywizją kanadyjską, rozpoczynając natarcie na tyły zgrupowania niemieckiego „Eberbach” po lewej stronie szosy Caen — Falaise.

I tak rozpoczęła się kolejna epopeja w dziejach naszego narodu walczącego o wolną, niepodległą i sprawiedliwą Polskę, w której szczytne hasła wolności, równości i braterstwa będą dewizą dążeń we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Nie będę się wypowiadał na temat historii dywizji, dat, nazw

miejsowości i nazwisk dowódców poszczególnych jednostek. Zrobili to inni przede mną, dużo lepiej niż ja bym to potrafił. Co mnie interesuje, to ludzie z którymi się zetknąłem i okoliczności tych spotkań. Chcę po prostu przedstawić wojnę, z zasięgu mojego oka.

Był w naszym plutonie goniec motocyklowy, st. szer. Łazarus Rochlin. Żyd z urodzenia, wyglądu i zachowania. Niepozorny wątlak w wielkich okularach jak dna od butelek po mleku. Nie dbał o wygląd, jego buty motocyklowe nie widziały pasty od chwili kiedy je założył na nogi, a bryczesy siedziały na nim jak blacha, usztywnione potem, kurzem i olejem. Bardzo małomówny, ale jak coś powiedział, to orzeczenie było brane na wagę złota. W Szkocji był znany jako Łazarus Maximus. Tutaj na kontynencie, gdzie poza angielskim wymagana jest znajomość innych języków, Łazarus okazał się niezastąpiony. Do jakiego kraju byśmy zajechali, miał tam krewnych, znajomych, a miejscowym językiem władał expedit!

Pochodził z zamożnej warszawskiej rodziny przemysłowców i bankierów. Mieli także fabrykę cukierków w Warszawie (Iryszy, raczki, krówki itd.) Rochlin Co Ltd. oraz wielki udział w szwedzkim towarzystwie przemysłowym produkującym łożyska kulowe.

Wojna zastała go w Holandii, gdzie „myszkował” — jak zwykłe — za interesem. Zgłosił swoją gotowość do walki za Ojczyznę we Francji i od tamtej chwili ciągle z nami wędrował.

Byliśmy już kilka kilometrów za Caen w małym siótku Tilly la Campagne wyrównanym przez angielski RAF. Spotkałem tam oficera żywnościowego dywizji, który zmagiał się z awarią samochodu. W czasie rozmowy dowiedziałem się, że połowa piekarnia armii brytyjskiej zginęła gdzieś na morzu i tak na razie, musimy jeść suchary. Ludzie narzekają, pokaleczyli dziaśta, nie wypada ich tak traktować. Anglicy ofiarowali makę, ale kto będzie piekł chleb i gdzie?! — zalił się. Aż tu zjawia się nasz Rochlin, który zawsze był na pododredziu i powiada: „Proszę mi dać 2 godziny, a ja wszystko załatwię”. Pojechał do Caen, zgorił z miasta wszyskich francuskich piekarzy do wypieku chleba dla armii! Po południu dostarczył samochód maki, drożdże, kisiel, tłuszcz i masło, a szynkę w puszkach i po paczce

papierosów dla piekarzy! Przez całą noc i cały dzień piekarze pracowali; szynka i papierosy w owym czasie to był rarytas. Wszyscy byli zadowoleni.

Skokami posuwaliśmy się do przodu. Co drugi dzień wracałem do bazy za Caen celem uzupełnienia paliwa dla dywizji, aby gonić oddziały czołowe, które w międzyczasie zdołały się odbić i to nieraz w mało znanym i niespodziewanym kierunku. Pewnego dnia jadąc z bazy otrzymałem radiowy rozkaz gdzie mam ułokować swój punkt rozdzielczy: kierunek Sassy, za rzeką Laison i współrzędne mapy! Dojeżdżam tam, pola uprawne, pszenica na pniu, szeroka miedza wśród pól porośnięta akacją i gdzieniegdzie wysmukła topola, a w pszenicy półtora tuzina czołgów — wszystkie spalone. Wiele kanadyjskich, ale były także i nasze. Ustawiłem wozy wzdłuż miedzy oraz kilka znaków kierunkowych, jak do mnie trafić i czekając na odbiorców z pułków pancernych, poszedłem w pszenicę sprawdzić żniwo 88-milimetrowego tygrysa. Każdy czołg prawie rozłupany jeśli dostał w wieżyczkę. Załoga nie do rozpoznania. W innych tylko kierowca zabity, pozostali żołnierze wyskoczyli tylko po to, aby ich wysiekił ogień smiesera, ukrytego w krzakach nad rzeką.

Za dwa dni zmieniłem miejsce wydawania materiałów pędnych. Tym razem znalazłem się w pobliżu tych „tygrysów”, które tak przerzedziły nasze szeregi pancerne. Wysoko na wzgórzu, zakopane do połowy w ziemi, tylko lufa penetrowała horyzont — stały „tygrys” i „pantera”. Dwóch zabitych, reszta załogi uciekła w popłochu przed rakietowym ogniem RAF-u, porzucane chlebaki, książki, menażki, gazety i koce.

Benzyniarz z I pułku pancernego, który jako ostatni przyjechał po materiał, przywiózł mi wieści alarmujące: nasi w szalonym zapędzie dostali się pomiędzy oddziały niemieckie i teraz wszyscy strzelają! „Panie poruczniku, nie wiem czy ja tam, do swoich dojadę. Za Jorfi już są Niemcy, a oni wciąż parli do przodu i na pewno są teraz w les Champeux!”.

Według jego zdania, co też z mapy widać, jestem kilometr od frontu! Mam pełne wozy benzyny po 4000 litrów każdy, wystarczy jeden świetlny pocisk i gotów faierwerk jeszcze lepszy niż na Rejowie, a do obrony mam tylko 6-strzałowy bęben-

kowiec wębley. Biegnę do radio-węzła, aby podzielić się wiadomością i zapytać co robić, a tu czekała już na mnie depesza z rozkazem abym jechał natychmiast z trzema wozami benzyny jakieś 6—8 km za Jorfi w stronę Norreg en Auge! — „Sytuacja jest niepewna, bądź pan ostrożny, good luck!”

Ogłosiłem w plutonie jaką sytuacja i pytam kto pojedzie na ochotnika ze mną. Zgłosili się wszyscy! Pokrzepiony wiernością mych podkomendnych odjechałem pozostawiając plutonowego, aby czuwał nad resztą plutonu.

Jorfi powitało nas ponurym widokiem. W pierwszym gospodarstwie, do którego dotarliśmy, zastaliśmy ślady zuchwałego pochodu wychowanków III Rzeszy: podwórce usłane zabitymi końmi, krowami, prosiętami. Ale prawdziwie przejmujący i tragiczny obraz był dopiero przed nami. Na wzgórzu, pod pomnikiem poległych w I wojnie światowej, na granitowym cokole leżał piechur z polskiej dywizji strzelców. Krew zakrzepła na stopniach. Jego koledzy leżeli u podnóża pomnika.

Kręcąc się wokół tego centralnego punktu siola Jorfi, szukałem drogi w kierunku Norreg en Auge. Czy przez przypadek, czy też wiedziony przeczuciem, trafiłem na drogę w wykopie, która przez co najmniej 300 m dawała mi szczęśliwą możliwość ukrycia w terenie. Jadąc powoli wynurzyłem się z wykopu. Po prawej i po lewej sady, a pod drzewami, po lewej stronie drogi, w wielkiej balii mryje się trzech Niemców rozebranych do pasa. Cofał się nie będę, nie ma czasu ani miejsca do nawrotu, zresztą ten manewr na nic by się nie przydał, więc przyspieszając jadę dalej i jak gdyby nie pozdrawiam ich skiniem ręki, tak jak to robią Anglicy. Ten, co już się wytarł ręcznikiem odsalutował mi po hitlerowsku, a pozostali z głowami w balii nawet uwagi nie zwracali. Wiele razy później we Francji i Belgii, zdarzało mi się, że zajeżdżając do nowego miejsca wydawania materiałów pędnych, ukrytego przeważnie wśród sadow, lasów i wiosek, natrafiłem na jakąś roboczą drużynę Wehrmachtu, której nikt nie obudził na czas przed ewakuacją.

Przyspieszyłem i po 10 minutach byłem na miejscu przeznaczenia.

To nowe miejsce postoju, dokąd mnie skierowano, długo będę w życiu pamiętał. Od 19 do 21 sierpnia nocne naloty niemieckie były bardzo uciążliwe. Małe bomby „żabki”, padające gęsto i w wielkiej ilości, przez dwie noce znużyły nas zupełnie.

Byliśmy bardzo blisko naszych pułków pancernych, a jednak nie mogliśmy im przyjść z benzynową pomocą. W odległości pół kilometra po mojej lewej stronie w Grandmesuir siedzieli Niemcy, w Trun także Niemcy, a nasi — w środku tej kotliny, w Chambois i w les Champeux. Ani ja do nich, ani oni do mnie nie mogli się dostać.

Przekazując stanowiska bojowe oddziałom kanadyjskim w rejonie Lambert-sur-Dives, dywizja nasza przeszła w rejon Vandogres celem przegrupowania, uzupełnienia itd. i tam pozostała do końca sierpnia.

Krwawo zakończył się nasz pierwszy etap „To Poland and Victory”.

Od 31 sierpnia nasza Dywizja Pancerna przeszła do „blitzkriegu”. Nareszcie mogliśmy się chociaż częściowo pomścić za polski wrzesień.

W ciągu pierwszych 10 dni pościgu przebyliśmy około 500 km.

Poseg oznaczał wytężoną pracę mojego plutonu. Należało zawsze na czas — dzień i noc — mieć etatowy przydział benzyny dla całej dywizji. Bazy nie nadążały za pościgiem, należało im pomóc i samemu wracać po zapasy paliwa nieraz aż nad morze do Ostendy lub Dunkierki, albo do przeladunku „PLUTO”. W miarę, jak front się wydłużał kiedy wkroczyliśmy na teren Belgii i Holandii, miałem mnóstwo przeżyć jeżdżąc co drugi dzień w tę i z powrotem.

Wracali wysiedleńcy i uciekinierzy, wylazili z kopalni węgla ukrywający się tam Żydzi, meldowały się „gehorsam” kompanie i plutony Niemców, którzy wychodzili z lasów prosić o zabranie ich do niewoli. Każdy podróżny na drodze miał swych krewnych po drugiej stronie granicy, każdy dźwigał zawiniątko lub kuferek, wszyscy błagali by ich podwieźć, zaklinali się i pod niebiosa wychwalali cnoty Polaków.

Raz, przy wyjątkowo pustej drodze za St. Omer, nagle wyrosła na środku drogi dziewczyna — 14- lub 15-letnia — powiewając chusteczką z wyraźnym postanowieniem zatrzymania nas. Cała

kolumna na hamulce. W strumieniach łez i wielkiej trwodze opowiada, że babcia zaniemogła — leży w rowie. Nic nie jady od 3 dni. Idą do Belgii.

Babcia zwinęta w kabiacek trzymała się za brzuch, grymas twarzy i błagalny wzrok świadczyły o boleściach i prośbie ratunku. Wsadziliśmy babcię do szoferki, wnuczkę przy niej, do ręki pąjdę chleba z masłem, a któryś z kierowców dał jej czekoladę. Jadę i myślę, co z babcią zrobić. Do Dieppe daleko (tam właśnie jechałem pobrać benzynę), ale niedaleko Auchy, nad rzeką jest połowy szpital brytyjski. No, gdzie jak gdzie, ale u Brytyjczyków, gdzie humanitaryzm i poczucie pomocy — tam na pewno babcię przylutują i dadzą należyta pomoc.

Tak też się stało. Służbowy szpitala i lekarz dyżurny przyjęli babcię z wnuczką dziękując mi, że okazałem się wyrozumiały czyniąc tę przysługę.

Po paru dniach przejeżdżałem obok szpitala. Przystanąłem, żeby zapytać co ze staruszką. Wszystko OK. Odstawiono ją z rannymi „dakotą” do szpitala w Anglii. Miała ostry niezbyt jelit.

Tego dnia byłem wielce zadowolony z tego, że tutaj, wówczas gdy wszyscy się biją i mordują, ja odniosłem niebywały sukces równy według mnie oswobodzeniu co najmniej kompanii wojska.

Kiedys, a było to już pod wieczór, jechałem z benzyną w kierunku nowego punktu rozdziału paliw niedaleko Hazelbronck nad granicą belgijską, jakieś 3 km za Abbeville. Nagle na pustej drodze zza krzewów wyjeżdża przede mną czołg! Najpierw wychyla się lufa działa, a za nią cielsko pancernego potwora. Nie ma czasu na namysły i rozważania. Czołg stanął w środku drogi, ale widać, że to nie sylwetka „tygrysa” czy „pantery”, a więc co za jeden?! Nie ma na nim znaków przynależności narodowej i dlatego stanął okrzakiem na drodze? Podjeżdżam bliżej. Czterech polskich pancerniaków z 2 pułku pancernego siedzi na czołgu, jeden z nich kapral, zeskoczył i podbiegł do mojego „jeepa” meldując, że zabrakło mu benzyny itd. itd. Patrzę na niego, twarz znajoma, a więc przerywam meldunek i mówię: „Człowieku dobry czy ty nie jesteś Zygmunt Kania z Ostojowa?” W chłopca jakby pioran trzaś.

— Skąd pan porucznik mnie zna?!

— Przecież, chłopie, poznaliśmy się na weselu u Winklów na Stokowcu w Suchedniowie.

Rozplakał się i zaczął ocierać łzy po zakurzonych policzkach. Padliśmy sobie w objęcia. Jego strzelcy pancerni widząc ten przyjaźielski entuzjazm między oficerem i kapralem, wzruszeni do cna braterskim powitaniem, tutaj z dala od Ojczyzny, z dala od ziemi kieleckiej i od Gór Świętokrzyskich, zeszli z czołgu i każdy z osobna przedstawiał się jak mógł, świadcząc swoje przywiązanie do naszej polskości.

Zygmunta Kanię spotkałem jeszcze dwa razy. Ciągłe jechał na front! Jego pierwszy czołg bojowy trafił na minę, gasienica i pół motoru wyleciało w powietrze. Zygmunt z załogą uratował się, dostali nowy czołg i zamiast czekać na transportowiec — polską naturą porwali się do przodu, aby jak najprędzej doszłusować do swoich. Zaopatrywałem go trzy razy w benzynę i w prowiant.

Za Gandawą już Zygmunta nie spotkałem. Był wśród swoich.

Drugim ziomkiem z ziemi kieleckiej, którego spotkałem w przyfrontowych okolicznościach, był kpr. Franciszek Grzywacz z Wierzbnika. Ojciec jego miał duży sklep masarski tuż przy wyjeździe do Wierzbnika z Wąchocka. W latach trzydziestych, beztrojskich, sztubackich, biegaliśmy razem podczas wakacji w Parszowie. Odnaczał się białą główką (prawie albinos) i ciągle żądał wypraw leśnych albo do Chochowy lub na Wykus w lasy siekierzyńskie. Z biegiem lat drogi nasze się rozstały, wojna, internowanie, ucieczki — każdy szedł swoją drogą. Aż tu nagle w 1942 r. w Musselburgh przybyło do nas kilku saperów z Francji, którzy różnymi drogami trafili do Anglii. I znów spotkałem F. Grzywacza, kaprala saperów z Przemysła.

Ale to był już inny Franio. Tych kilka okupacyjnych lat we Francji, wieczna tułaczka, niepewność dnia ani godziny, spowodowały, że Franio zaczął pić. Jako krajan, kolega, przyjaciel wziąłem na swe barki rolę uzdrowiciela — ale gdzie tam — Franio pozostał wierny swej zasadzie „trza używać póki czas”.

Pamiętam, przejeżdżam raz przez most nr 2 zbudowany przez polskich saperów na Sekwanie w rejonie Elbeuf. Kto stoi wśród załogi strzegącej mostu? Kpr. F. Grzywacz; biała główka

widoczna na kilometr! Krzycząc, „Faniek do mnie, a chyba”! Przyleciał: „Józku kochany, to ty jeszcze żyjesz, jak Boga kocham, jakże się cieszę”. Wymienił wszystkich, którzy polegli. „Bracie kochany, to, co teraz mamy, to zupełnie inne wojsko. Same «keserlingi» albo internowani ze Szwajcarii. Za dwa dni mam 48-god. urlop, jadę do Gandawy, no ale z czym pojedę. Nie masz ty czasem coś forsy przy sobie, abym pożyczyl”.

Drogi Franiu, pożyczycie nie mogę, ponieważ cię znam, ale co ja zarobię, to ci dam pieniądze, abys wszystko w ciągu 48 godz. przepił?! Wyciągnąłem z kieszeni zwój banknotów — trzymiesięczną gażą oficera, około 100 tys. franków belgijskich. „Zabieraj to ze sobą i cały twój pluton mostowy, powinno wam wystarczyć”.

Wiecej Frania nie spotkałem. Inna załoga przejęła dyżur mostowy.

Trzecim ziomkiem z moich okolic, ze Stokowca, był marynarz Józef Wikło. Ktoś pomyśli, coś tu nie pasuje, marynarz w dywizji pancernej?! Wytłumaczę.

Po wrześniowych zmaganiach, marszach nocnych i tułaczce znalazłem się na Węgrzech wraz z całą rzeszą zbieraniny cywilnej i wojskowej, którą ofiarni Węgrzy zaczęli sortować według stopni wojskowych i cywilnych grup rodzinnych. Początkowo, wraz z grupą 80 podchorążych trafiałem do pięknego pałacyku w wiosce Lengeltotti, który dla potrzeb wojska polskiego ofiarowała jakaś księżna węgierska, żona albańskiego króla Zogu. Śliczny zameczek, coś w rodzaju miniaturki pałacu w Wilanowie — park dookoła, ujeżdżalnia, stajnie „dworskie czworaki”, staw z fontanną, majestatyczny zajazd, brama — wszystko na nasze przyjęcie opróżniono, został tylko kustosz z rodziną. Jedyna mądra rzecz, jaką Węgrzy zrobili, to wynieśli meble z tego przybytku, zostały tylko gobeliny i arraszy rozwieszone po ścianach i na klatce schodowej. No i ta podłoga. Co za podłoga! Cały artyzm sztuki arabsko-tureckiej ukryty był w pięknych wzorach kolorowego drewna i w symetrii geometrycznych deseni pięknej mozaiki. Kilku znawców tej sztuki upiększania wnętrza VIII- i IX-wiecznych zamków aż lzy miało w oczach widząc brnąć żołnierską rąbiącą podkutymi butami ozdobny parquet. Co gorsze, po

obiedzie niektórzy rogiem drogocennej tkaniny wycierali menażki. Nic dziwnego, że na nasze miejsce przybyła grupa wyższych oficerów — może więcej kulturalnych, a nas wysłano do Mohacza nad Dunajem, 4 km od jugosłowiańskiej granicy. Tutaj, w murowanych barakach dawnej straży granicznej sprzed I wojny światowej, rozlokowaliśmy się całkiem wygodnie; wszystko było — łaźnia, prysznic, sklepik-kantyna i raz w tygodniu wycieczka promem po Dunaju na małą wyspę na śliwki! Wszystko było, a jednak każdy chodził zaszępiiony, myślał o domu, o rodzeństwie i swych stronach rodzinnych.

Nagle przyszła wiadomość z Czerwonego Krzyża, że komunikacja pocztowa pomiędzy okupowaną Polską (General Gouvernement) a Węgrami została otwarta. Na razie wolno było wysłać jedną pocztówkę na tydzień, później rygor ten się obluźował i wysyłaliśmy trzy pocztówki w tygodniu. Wszyscy pisali i do wszystkich kogo znali w kraju! Aby jeszcze bardziej przybliżyć nam kraj rodzinny i ukoić tęsknotę za domem, dowódca obozu, kpt. Rozgony (wspaniały, elegancki i nadzwyczaj kulturalny człowiek, zupełnie jak Chevallier z „Parady miłości”) sprawił nam na Boże Narodzenie 1939 r. radio, abyśmy mogli posłuchać od czasu do czasu wieści z kraju wraz z hejnałem z wieży mariackiej z Krakowa.

Jednak najbardziej interesowała nas stacja francuska Toulouse (Tuluza), która nadawała po polsku słuchowiska z obozów wojskowych na ziemi francuskiej, zapraszając wszystkich Polaków rozsianych po Europie, aby zbierali się pod sztandarami gen. Sikorskiego we Francji. Pewnego razu stacja ta nadała audycję z Anglii, z polskiego okrętu wojennego. Marynarze śpiewali „Bóg się rodzi”. Nazwa statku „Błyskawica” — „gdzieś na wodach brytyjskich”! Mój Boże, kochany! Przecież na „Błyskawicy” służy Józek Wikło ze Stokowca! Migiem — nie czekając poranka — siadłem do pisania pocztówki. Ponieważ miałem już wiadomości z mojego domu i wiedziałem wszystko o jego rodzeństwie, napisałem w telegraficznym skrócie wszystko to, co dotyczyło jego krewnych i rodziny. No, a teraz jaki adres? Pisać po polsku — na pewno się nie połapią, natomiast angielskiego nikt w obozie nie znał.

Pewien oblatany podchorąży poczytał mi, abym zaadresował po włosku! Marynarz J.W. ORP „Błyskawica”, Della Flotta Britannica, Londyn, England Wielka Brytania. Nie byłem tego wszystkiego pewny, chociaż adres wyglądał bardzo imponująco. Szef obozu przybił pieczęć internowanych. Igen jo won, Kesenemseipem junapodkiwano — i po krzyku Tego samego tygodnia, w piątek, przyszedł list, a w sobotę jeden funt szterling angielski! Naturalnie, odebrałem go u płatnika w pengach węgierskich — 22 pengö 15 filarów! List Józka, w mojej kopercie, przedresowałem do Polski do jego rodziców.

Dwa razy zrobiliśmy taką wymianę. Jego listy poszły przez Węgry do Stokowca, a listy ze Stokowca przez moje „biuro” do Anglii do Hartwich. Przy tej wymianie otrzymałem od Józka 3 funty, za które trzech kolegów i ja ubraliśmy się w cywilne ubrania i czmychnęli przez granicę do Jugosławii.

Będąc w Anglii znów napisałem na „Błyskawice” zdając Józkowi dokładny raport com zrobił z funtami, dziękując jednocześnie za umożliwienie ucieczki z obozu internowanych. Odpowiedział natychmiast, zapewniając, że wkrótce mnie odwiedzi z narzeczoną! Tydzień nie minął, kiedy Józek przejechał do Musselburgh z Helą, sanitariuszką Pomocniczej Służby Kobiecej w Marynarce Brytyjskiej. Przez dwa dni pobytu — bo tylko tyle otrzymał urlopu — nagadaliśmy się do syta, o swoje, a ja swoje, wspomnieliśmy dobre dzieje we własnych kątach w Suchedniowie i w Parszowie, ale najwięcej nas ubawiła historia listów, które on otrzymywał ode mnie, a właściwie od swych rodziców z Polski okupowanej przez wroga! Jak się to stało, że marynarz Wikło dostał list z domu?!

Listy te oglądali wszyscy marynarze na pokładzie okrętu i z innych statków przychodzili ciekawscy oglądać korespondencję z tamtej strony kordonu. Admiralicja brytyjska zainteresowała się także, wążąc czy w tym nie ma gdzieś podstępny admirała Canarisa z niemieckiej Abwehry. Listy Józka przeglądali, prześwietlali, szukali znaków szczególnych, sprawdzali pisownię z polskim ekspertem, ale po tygodniu listy zwrócili.

CDN

JÓZEF Z. GŁOGOWSKI

W SAMEJ rzeczy Agnieszka taka była, jak powiedział o niej Łukasz. Samica? Tak, samica! Czy nie kochała go jednak mimo to z całą mocą młodego serca? I to jeszcze jak kochała, choć ta jej miłość do niego czerpała soki właśnie z jej zmysłów, z tej samicości, tak wybujałej w niej, jak chwast na zapuszczonej, a dobrze uprawionej glebie, dając jej tyle szczęścia, co niemiara. Ale, żeby rzecz prawdę, przy Felku też przeżywała swoje gody i cudowności, oddając mu się za każdym razem z całą zachłannością dopiero co rozbudzonych w niej zmysłów, i również była w nim zakochana do szaleństwa wprost. Ale ta jej miłość do niego tak krótko trwała! Bo kiedy go brakło, nie było go już i w sercu jej, a nawet w myślach. I co miała z nim, przeszło, jakby było snem. A skończył się sen, skończyło się i wszystko, co było z nim związane.

Owszem, na początku płakała z żalu, że go nie ma, ale zaraz następnej nocy obejmowały ją już ramiona Łukasza, z którym przeżywała takie samo szczęście, jakie miewała z Felkiem.

Bo gdyby Felek żył jeszcze... Tylko czy ona może wiedzieć, co byłoby, gdyby już stale mieszkali ze sobą jako małżonkowie? Czy to szaleństwo jej zmysłów wciąż ciągnęłoby ją do niego? I wciąż z jednakową pożądlivością? Przecież tak dużo ich dzieliło!

Tak, urzekał ją spokój wsi i te wszystkie roboty wokół „gadziny” dawały jej dużo radości, i nie bała się niczego i nikogo, jak i nie zatrzuwała się żadnymi myślami, ale Felek — chłopaczek — obdarowywał ją szczęściem tylko w łóżku. A chłopaczek, to chłopaczek, aż któregoś dnia stwierdziłaby, że z niego już nie chłopaczek, lecz chłop, a ona przy nim — stara baba! I co by wtedy było z jej, a właściwie z ich miłością? Ale wtenczas nie myślała o tym. Myślała tylko, leżąc razem z Felkiem w łóżku, o swoim jakby wstępowaniu do raju.

Ze jednak ten raj któregoś dnia skończyłby się, może nawet wcześniej, nim Felek stałby się dorosłym mężczyzną, czego teraz jest pewna jak Boga na niebie, to czy niedobrze, że śmierć jego nie dała jej dożyć tych dni „starej baby” przy nim lub odejścia Felka od niej do innej, młodszej? A jeszcze lepiej, że na jego miejsce przyszedł — on, Łu-



Rys. Zbigniew Moralski

UCIECZKA

Józef Morton

kaszk? Łukasz, którego, właściwie, od dawna już pragnął!

Przecież tylko ono, właśnie to pragnienie, kazało jej iść do niego i oddać mu się albo i oddawać mu się już stale, a nie, żeby ratować brata, jak mówił! Inna rzecz, ten pozór miał dużo cech prawdy, bo szczerze chciała pomóc bratu, a nawet tak

bardzo, że nie tylko Łukaszowi, ale każdemu by się wtedy oddawała! Jeśli jednak przy innych byłby to przymus, choć może również dający jej przyjemność i to wstępowanie do nieba, to do Łukasza z radością byłaby biegła, a na pewno już z pożądaniem go, z pragnieniem zwracając się z nim w miłosnym

objęciu, żeby go już mieć, a kto wie, czy nie na zawsze! Bo raz otwartę przez nią drzwi nieprędko by się już zamknęły — tak wtedy myślała — albo i wcale by się nie zamknęły, bo najpewniejsza była, że umiałyby go utrzymać przy sobie, na dobre utrzymać, że poza nią jedną nie znalazły innej dziewczyny.

Ale, niestety, wtedy nie doszło do tego, za to teraz sam los dał go jej i tylko ona jest mu teraz nie tylko kochanką, ale prawie i żoną, nie on jednak ustawicznie spragniony jej, lecz ona jego, a do tego stopnia, że sam jego widok budził już w niej zmysły.

Ktorejs nocy powiedział jej Łukasz, że chyba z samych zmysłów ciało jej jest zbudowane, a ona co mu na to? Że tak, że ma rację, bo poza zmysłami nic więcej w niej nie ma. I że mogłaby nic nie jeść, nie spać, nie chodzić nigdzie i nic nie robić, tylko być w jego objęciach.

— Bo, Łukasz mój, najdroższy, jedyny, jak ja cię wciąż pragnę, pragnę, chcę i przepadam za tobą! Jesteś dla mnie jak cud boski, albo najpiękniejszy sen...

— A inny jaki czy nie byłby dla ciebie też takim samym snem i cudem boskim? — przerwał jej Łukasz. — Z Felkiem, no, naszym „Skorpionem”, jak mówiłaś, też było ci dobrze i szczęśliwa byłaś...

— Nie znam żadnego innego, więc nie wiem, jak by mi z nim było. A Felek? Felek przy tobie to dzieciuch. I jeśli było mi z nim dobrze, to dlatego, że ja zrobiłam z niego mojego kochanka. Więc wychodziło tak, że dawałam mu po to, żeby potem brać to, com mu dawała i tym rozpalać moje zmysły, pragnienie, czego łaknęło moje ciało. A przy tobie... Przy prawdziwym mężczyźnie, który umie i dać, i wziąć? To dziwisz się, że kiedy jestem z sobą, całam ze zmysłów zbudowana?

Ale, jeżeli Felka dzień w dzień miała przy sobie, jak i noc w noc, to Łukasz był dla niej jak objawienie, które to się jej ukazywało, a za każdym razem na kilka aby godzin, to znikało, a nie na godziny, lecz na całe dni. Przy tym, będąc razem z Felkiem w Robowicach, przebywała stale na jednym i tym samym miejscu — w jego domu, gdzie od rana do rana panował spokój i naściana Czerwonych nie bała się, bał, nawet rzadko kie-

dy pomyślała o nich, to teraz co dwa-trzy dni najwyżej musiała wędrować do innego domu, a ile razy „mieszkała” w poniekim bunkrze lub ziemiance?

Mimo to nie tylko nie zmniejszała się jej miłość do Łukasza, ale jeszcze większa, mocniejsza była, choć czy raz zapłakała sobie gorzko, że prowadzi teraz takie prawdziwie włóczęgowskie życie? Bo to tu, to tam... A kiedy się ono skończy? Kiedy się skończy wojna. A kiedy się skończy wojna? Na to nie miała żadnej odpowiedzi i wybuchała gwałtownym płaczem, który nieprędko milkł, chociaż wartownicy jak mogli, tak ją pocieszała.

A było ich dwóch lub trzech, przecież musieli pilnować zarówno Agnieszki, żeby nie stało się jej co złego, jak i radia, które bez przerwy było czynne. I jakie wiadomości nadawali w nim, Agnieszka je zapisywała (...)

* * *

Zbuntowała się przeciwko temu przymusowemu słuchaniu radia i wysiadaniu przy nim jak kura na jajach, co tylko dla załatwienia się i zjedzenia czegoś tam może zejść z gniazda i tak bardzo zapragnęła życia na wolności i spotykania się z różnymi ludźmi, i rozmawiania z nimi o wszystkim, czego by tylko dusza jej zechciała, że kiedy Łukasz znów zawitał w jej progi — tym razem — bunkra, rzuciła się do niego z płaczem i wychlipała, że jej bez niego pusto, samotnie, a to radio jest dla niej jak kamień u szyi, więc dosyć go ma, och, jak bardzo dosyć, że tylko hak wbić w ścianę i powiesić się — a potem, z oczami w jego nieruchomych oczach, spytała cicho:

— A jak bym razem z tobą wszędzie była? Ubrałabym się po żołniersku i jako twój adiutant, gdzie ty, tam ja? (...)

* * *

Nagle objął Agnieszkę za ramiona i zajął jej w oczy.

— I ty chcesz być razem z nami? Agnieszko, zastanów się nad tym, coś powiedziała Dziewczyno moja, kochana! Aguska!

— To straszne, coś powiedział, okropnie! Nie myślałam nigdy, że jest tak źle, albo że tak będzie. Ale — i znów zaskakała — ale że to moje stałe wysiadanie i słuchanie radia jest dla

mnie wprost zabijające, to może... — i podniosła głowę wyżej, dokończyła. — To może łącznikiem byś mnie zrobił?

Łukasz pokiwał głową jakby przekonany, gdy nagle powiedział:

— A czy wiesz, ilu łączników moich już poszło pod ścianę a ilu siedzi w więzieniach, czekając, kiedy ich poprowadzą pod mur lub zawisną na szubienicy? O, była taka jedna... Jaskółka się nazywała. Piękna i mądra dziewczyna, a obrotna i sprytna, że samego diabła by wykiwała — i co? Już od dawna w ziemi. I chcesz być łącznikiem? Bo przy radiu ci źle i ciężko? To, jak powiedziałem, powierz tę robotę komu innemu, ale gdzie mam ciebie dać, żebym był pewny twojego bezpieczeństwa?

W oczach Agnieszki zaśnily łzy, ale nie rzekała nic, a Łukasz zaraz wstał. Chwilę przechadzał się po bunkrze, potem, stanawszy przed Agnieszka, powiedział:

— Dobrze byłoby umieścić cię gdzieś na plebani, tam miała-bys i spokój, i wygodę, a nawet jakieś tam towarzystwo, ale ubowcy tak wszędzie teraz weszła za nami i partyjnych robi się coraz więcej, że z trudem znalazłbym księdza, który by ci dał schron u siebie. Cóż, taki idzie czas, a będzie, jak mówię, jeszcze gorszy, groźniejszy dla nas.

Agnieszka, spłakana i zdesperowana, podniosła naraz głowę wysoko, popatrzyła na twarz Łukasza.

— To cóż! Niech zostanie tak, jak jest. Tylko co będzie, jak któregoś dnia zginiesz? Co wtedy stanie się ze mną?

— Masz brata, zaopiekuję się tobą.

— Mam brata! — wyrzekła z przekąsem. — Brat bardziej będzie pilnował swojej skóry niż mnie. A przy tym miałabym żyć bez ciebie?

— Jak przyjdzie na to, będziesz! — odrzekł Łukasz krótko, a potem dodał: — Człowiek zawsze przystosowuje się do warunków. W jakich wypada mu żyć. Tylko głupcy odbierają sobie życie. Więc i ty przystosowałabyś się do nowego życia, gdyby mnie brakło, czyli walczyłabyś dalej. A ze względu na mnie dano by ci bezpieczną pracę.

— A jakby mnie złapali partyjni? Wdarli się do izby czy do bunkra, albo do tego miejsca, gdzie miałabym bezpieczną pracę, a potem rozstrzelali? Bo w ramkę na pewno by mnie nie oprawili i nie zaprosiliby na dobry obiad.

Lukasz objął ją i przytulił mocno do siebie.

— Aguska, moja droga, kochana Aguska, nie nabijaj sobie głowy takimi myślami, nie zatruwaj się majakami. To bierz w tobie życie. Zawsze witałaś mnie wybuchem śmiechu i radości, i całowałaś spragnioną miłości ze mną a dzisiaj... Aguska moja, weź się w garść! Zresztą czy ty, czy ja, jesteśmy żołnierzami i walczymy o narodową Polskę, a nie bolszewicką, więc wszystko, co nam da los, musimy przyjąć ze spokojem.

— Nawet śmierć? — wyszeptowała.

— Tak, nawet śmierć, która żadnego człowieka nie omija. Jeden tylko może wcześniej, drugi później, ale każdy musi umrzeć. To spokojna już będziesz? I nie będziesz się truć żadnymi głupimi myślami?

— Jezu! — wykrzyknęła prawie boleśnie. — Bo tak młodo miałabym umrzeć? Ale — dodała po chwili pełnym szeptem, nagle załamana — ale jak trzeba będzie, to cóż... Rady na to nie było i nigdy nie będzie żadnej, żeby się uchronić przed śmiercią, bo stary, czy młody... — i obróciła twarz ku Łukaszw. — Dobrze, już się nie będę więcej truć i dręczyć żadnymi złymi myślami, będę spokojna. Jakżeby jednak dużo dała za to, żebyśmy byli razem. Nawet gdyby nam przyszło stanąć pod sdybą!

— Rozumiem cię, ale to nie-możliwe. A teraz — i pocałuj jej rozpinać bluzkę — naszel Nasze, Aguska, bo skoro świt...

— Agnieszka po raz pierwszy, odkąd zaczęła żyć z Łukaszem, najmniejszego ruchu nie wykonała. Była jak martwa. Nawet, kiedy Łukasz zupełnie ją obnażył, a potem sam się rozebrał. Jakby zupełnie nie istniały dla niej te sprawy albo była zimna od urodzenia. Aż się Łukasz zdziwił, a po chwili i gniew go porwał, „bo co ty, Aguska? To ja taki kawał drogi odwalilem, żeby się tobą nacieszyć, a ty... Jakbym ci był teraz wstrętny!”

— Nie, wstrętny nie jesteś dla mnie i nigdy nie byłeś, a ko-

cham cię tak bardzo, że w ogień bym skoczyła za tobą, żeby cię ratować, ale przez te moje myśli... Bo wprost okropność, co się ze mną ostatnio wyprawia i nie daje mi spokoju. To i widzisz, jak jest. A nigdy taka nie bylam...

— Ogień z ciebie buchał, żywy ogień! — przerwał jej Łukasz. — A nie, że taka nie byłaś. Ale to chyba pierwszy i ostatni raz, co?

Agnieszka chwilę milczała, potem westchnęła w głos:

— Na pewno, bo przełamię się w sobie i poddam na powrót losowi. Tak, losowi — powtórzyła — bo on mną kieruje. A przed swoim losem nigdzie się nie ucieknę.

Ale, choć zaraz przylgnęła całym ciałem do Łukasza, już nie była taka, jak wpięrk. A rozkosz jej? Prawie żadna. Tyle aby, że Łukasz tym razem był jak szatan; i to jej sprawiało przyjemność, że najdroższy miał swoje, po co, zresztą, jak mówił, przyjechał do niej, bo miałby przyjechać tylko z samej troski o nią? O jej życie? Tyle by go obchodziła, co psa piąta noga. To w końcu objęła go nawet i ucałowała, przecież, mimo wszystko, kochała go, bo czy i on jej nie kochał? Wprawdzie, często mówił, że tak, że ją kocha, ale czy naprawdę kochał? Może, ostatecznie i kocha, ale według niej przede wszystkim kochał to jej obłąkańcze wprost pożądanie go. Tylko czy to nie wszystko jedno dla niej, jak z tym jego kochaniem było? Grunt, że go miała. To może źle się stało — pomyślała nagle — że taka chłodna była dla niego? Bo czy nie pomyśli sobie, że przestała go kochać?

I żeby go przeprosić za to i znowu stać się dla niego gorącą, zmysłową, tą samą, czyli taką, jaką była, i na zawsze oddaną mu, związaną z nim na śmierć i życie, przytuliła się do niego mocno, miłośnie, opłótła go ramionami i nogami, choć już był ociepiał i senny, i tak zaśnęła. Ale, kiedy późno w noc przebudziła się, żeby teraz dopiero oddać mu się, ile tylko sił będzie w niej, takim żarem rozplamiła się w niej nagle zmysły, Łukasza przy niej już nie było. Nie było go i w bunkrze.

Tylko czy pierwszy raz tak odcodził od niej, potajemnie, nie budząc jej? Mimo to, jak za każdym razem długo płakała,

tak i teraz uderzyła w płuć, nawet lamentować zaczęła, bo znów sama! A ile dni ma teraz czekać na niego? A jeżeli tygodni? Bo prowadzi wojnę z Czerwonymi, a ona nie ma żadnych praw do tego, żeby mu nie pozwolić odchodzić od niej, a jeszcze bardziej, żeby stale był razem z nią, bo kim jest właściwie dla niego? Żoną? Kochanką, a nie żoną! Tak, tylko jego kochanką!

I tą kochanką tak długo będzie, dopóki albo on jej nie porzuci i weźmie sobie drugą, albo nie zabiją jej pepeerowcy. Ale prędzej poniesie śmierć z rąk partyjnych, niż Łukasz miałby ją porzucić. Bo skoro należy do NSZ-owców i kocha bandytę, to wcześniej czy później musi zginąć od kuli Czerwonych, albo w najlepszym razie, dostać parę lat więzienia, żeby po odbyciu kary opuściła to więzienie — pokrzywiona, połamana i pobrużdżona na twarzy — staruszka. To miłość byłaby jej wtedy w głowie?

— Boże mój! — jęknęła na myśl o takiej karze, jaka jej będzie grozić, jeżeli ją Czerwoni aresztują, a potem jakże gorzko zaczęła żałować, że pod namową brata wstąpiła do NSZ, bo teraz, dzisiaj, jakżeby się inaczej układało jej życie, gdyby była od nich wolna. Przede wszystkim nie bałaby się ani śmierci, ani też więzienia, bał w ogóle nie myślałaby o tym. Czerwoni, czyli pepeerowcy, na pewno przychodziliby do niej i to często, za każdym razem, pytając ją o brata, i to byłoby wszystkim. A przez te NSZ ile biedv już przeżyła, a ile jeszcze może przeżyć? Dlatego czy nie powinna z nimi skończyć? Przecież nie może być wiecznie w łuku przed śmiercią! Kochanką Łukasza też dalej nie może być! Związka w takich warunkach, jakie ma. Więc i z tym musi zerwać. A w ogóle to z takim życiem, jakie prowadzi, życiem bez jutra, bo nie ma dnia, w którym byłaby pewna, że za godzinę, dwie, albo i rano następnego dnia będzie jeszcze żyła.

Owszem, Łukasza kocha, ale czy jej miłość do niego, a jego — do niej, uchroni ją przed śmiercią? Dlatego tej miłości do Łukasza też musi położyć kres. A w jaki sposób? Po prostu jeszcze dzisiaj wymknie się z bunkra — i cały świat ma przed sobą otwarty. Ale ona w ten cały świat nie pójdzie, wróci tyl-

ko do własnego domu, żeby w nim zamieszkać na dobre.

To jasne, że zaraz pojawia się u niej ubowcy, żeby ją aresztować i zabrać ze sobą do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, by tam została poddana badaniom. Ale ona tych badań bać się nie będzie, bo co wie, wyjawy z miejsca, a najpierw, że, owszem, była w bandzie — tak powie — że nie u NSZ-owców była, lecz w bandzie, a dlatego, że brat ją przymusił, żeby w razie choroby opiekowała się nim, bo jest „slabowity na zdrowiu”, przy tym jakby sobie dawała radę sama? A nie mając żadnej pracy z czego by żyła? Więc nawet musiała iść z bratem. I sprawa jasna? Jak najbardziej. Za to... — i raptem zamyśliła się, bo przypomnieli się jej ci dwaj zamordowani ubowcy. Oni, przekleci! Więc jakby ją zapytali o nich, co by odpowiedziała? Że nie wie o żadnych ubowcach? Ba, nie wie, skoro na pewno wiadomo im, do kogo i w jakiej sprawie poszli do Robowic, jak wiadomo im również i o tym, że ona była wtedy razem z Felkiem. Więc co odpowie? Że Felek ich zabił, a nie ona? Nie uważa, bo Felek został zastrzelony, przy tym ubowców ukryto pod zwalem gnoju, a czy to też miałby zrobić Felek? Być może. Więc dokonała tego wszystkiego tylko ona, Agnieszka.

I opadła jej głowa na piersi. Zobaczyła swoją klęskę, zobaczyła i swoją śmierć, jeżeli nie znajdzie czegoś takiego, co ją może uniewinnić, tym samym ratując ją.

Długo szukała w myślach tego czegoś takiego, aż w końcu znalazła: przecież to tak dawno było, że na pewno już nikt nie pamięta o tych zabitych! A może i nie wiedział nikt o nich i nadal nie wie?

Przy tym ci zamordowani byli na pewno z Psitowa lub z Buska, a jej wieś podlega UB w Pamierzy, co się więc działo i dzieje w Busku albo w Psitowie, czy musi zaraz wiedzieć o tym Pamierza? No cuda by to były, prawdziwe cuda!

Zresztą choćby i wiedzieli o tych zamordowanych w Pamierzy, i pamiętali o nich, co z tego, skoro o tym, jak oni obydwa zginęli, a potem byli zakopywani w gnoju, wie tylko ona jedna. Świadców na to nie było.

Więc w razie czego tyle kłamstw może naopowiadać, że nikt ani odrobiny prawdy nie wyluska z nich. No, jest ta kobieta z końca wsi, u której była, i coś tam jej powiedziała, ale o niej też tylko ona jedna wie, a więc jakby nikt. Dlatego swobodnie może iść do domu, zamieszkać w nim, a nawet starać się o posadę nauczycielki.

A odnajdzie ją Łukasz i będzie żądał od niej, żeby wróciła do wojska, za nic nie wróci, choćby ją nawet miał zastrzelić. Ale że ją kocha, to na pewno jej nie zastrzeli, przyjeżdżać do niej też nie będzie, bo byłoby to dla niego niebezpieczne, przy tym ona sama zabroni mu tego, bo miałyby od nowa żyć pod strachem, że któreś nocy wpadną do niej ubowcy, żeby i ją, i Łukasza zabić? A przez te kilka miesięcy nażyła się, nakochała na wszystkie sposoby, i ciało swoje nasyciła miłością, że może żyć teraz sama i nie mieć żadnego kochanka. Zresztą znów kochanek dla niej? Mąż jej potrzebny, nie kochanek, mąż, żeby się i ustatkować, i życie mieć uporządkowane, na co najwyższy czas, bo lata ma już niemałe.

Więc ucieka? Tak, ucieka! A co z radiem? Zabrać je z sobą? W żadnym wypadku, żeby jej potem nie oskarżyli o złodziejstwo. A wartownicy, jak ją zobaczą bez niczego w rękach, nawet bez jesionki, będą najpewniejsi, że idzie na spacer, jak chodziła każdego dnia.

Więc jeszcze minuta, jeszcze dwie, a nawet cały kwadrans minął, nim wyszła z bunkra i rozejrzała się po świecie, który ją prawie oczarował, taki się jej wydał piękny, pełen soczystej zieleni i słońca, przedzierającego się przez nią ośniewająco, i naraż ruszyła przed siebie, gdy wtem usłyszała:

— A pani pułkownikowa na spacer?

Obejrzała się gwałtownie do boku.

— Tak — odrzekła — na spacer, bo dość mam tego zaduchu w bunkrze, że wprost wytrzymać w nim nie można. A wy po całych dniach na powietrzu! Jak ja wam tego zazdroścę!

— Pani pułkownikowa nie ma nam czego zazdrościć, bo człowiek bez przerwy podsyty strachem, czy z za którego drzewa nie przejdzie po nas czerwoniak serią z pistoletu.

chem, czy z za którego drzewa nie przejdzie po nas czerwoniak serią z pistoletu.

— A dawniej nie baliście się?

— Co dawniej, to nie dzisiaj. Dlatego niech pani pułkownikowa za daleko nie idzie, bo mogłoby się pani pułkownikowej co przydarzyć.

— Co? — spytała ostro. — Co by mi się mogło przydarzyć?

— No, ubeków wszędzie teraz można zobaczyć. A oni na panią pułkownikową już od dawna chyba mają chrapkę.

— A czy nie posiadam rewolweru?

— Ale jakby tak ich kilku?

— To i kilku dałabym radę. Zresztą, skoro tak mówicie, daleko nie pójdę.

— To dobrze, ale mimo to będziemy uważać.

Nic na to nie odrzekła, bo już szła pospieszonym krokiem, ale, żeby uspić czujność wartowników, dobrą chwilę błądziła po lesie blisko bunkra, dopiero potem jej spirala, po której szła, zaczęła się rozszerzać, i naraż pusiła się pędem w głąb lasu.

Ale jak szybko znikła ona w lesie, tak równie szybko wartownicy stwierdzili, że jej nie ma w pobliżu. Czyżby więc... Czerwoni? A czy mogłoby się stać coś innego, jak nie to, że ci jebańcy od rana czekali, kiedy ona wyjdzie na spacer, żeby ją z miejsca pochwycić?

Bo mogłaby zająć w jakimś gąszczu i teraz błądzić po lesie? I jedno możliwe, i drugie możliwe! Czy tak jednak, czy owak — do lasu im z miejsca na poszukiwanie jej! Co prędzej więc rzucili się w kierunku, gdzie powinna być, ale jej tam nie było, nigdzie, gdzie tylko poszli, nie było jej, więc rozdzielili się i jeden w jedną stronę poszedł, drugi — w drugą, choć Agnieszka — gdzie tam już ona była! Mimo to wciąż jeszcze szła szybko, coraz szybciej, żeby się jak najprędzej znaleźć w swoim własnym domu, w którym, co prawda, różnie może być z nią, ale co własny dom — to nie las!

JÓZEF MORTON

Fragmety pierwszego rozdziału z czwartego tomu powieści „Całopalenie”, która ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej jeszcze w tym roku. Tytuł pochodzi od redakcji.

Dwa nieznane listy

Józefa Ignacego Kraszewskiego
do Aleksandra Wielopolskiego

W 1859 roku Leopold Kronenberg (1812—1878) jeden z największych bankierów przemysłowców Królestwa Polskiego, założyciel Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Banku Handlowego w Warszawie, kupił od Aleksandra Niewiarowskiego „Gazetę Codzienną” i funkcję redaktora zaproponował Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu. W końcu lipca 1859 roku pisarz opuścił Żytomierz i około 1 VIII przyjechał do Warszawy. Na stanowisku redaktora „Gazety” został zatwierdzony 10 VIII i objął je 16 sierpnia. Po dwudziestu miesiącach, za zgodą władz, zmienił się tytuł „Gazety Codziennej” na „Gazetę Polską” (3 IV 1861).

Praca pisarska i redaktorska zapewniła Kraszewskiemu wysoką pozycję społeczną i literacką, co umożliwiała mu utrzymywanie wielu licznych kontaktów zawodowych i towarzyskich, a w tym z późniejszym naczelnikiem rządu Królestwa Polskiego (1862—1863) Aleksandrem Wielopolskim (1803—1877). Związki z tym ostatnim nie są w pełni znane i udokumentowane, warto przeto opublikować dwa nieznane listy pisarza do Wielopolskiego. Przechowywane są one w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Kielcach, w zespole „Archiwum Ordynacji Myszkowskich”. Znajduje się w nim też karta z tytułowaną „Sprawy dziennikarskie J.I. Kraszewskiego (1861—1862)” (sygn. 196 a), a w niej cztery listy, z których dwa adresowane są bezpośrednio do Wielopolskiego. List z datą 8 IV 1861 składa się z 4 stron formatu 28,7 x 20,2 cm, z których zapisano część pierwszej. Oto jego tekst:

Jaśnie Wielmożny Hrabio!

Mimo najszczerzej chęci złożenia Mu mojego uszanowania, od wczoraj z gorączką i wysypką leżąc w łóżku, dopełnić tego nie mogę. Lekarz na trzy dni zachowywał się takiego mnie skazał. Jak

skoro wyjechać mi będzie wolno, pośpieszę służyć JW Panu.

Miło mi wyrazić głęboki szacunek i poważanie z jakim mam honor zostawać

Dobrodzieja
Jaśnie Wielmożnego Hrabiego
najniższy sługa (?.)
J.I. Kraszewski

d. 8 kwietnia 1861 r.
Warszawa

J.W. Hr. Wielopolski

Przytoczony list napisany został w dniu krwawego stłumienia patriotycznej manifestacji mieszkańców Warszawy na Placu Zamkowym. Jest to prawdopodobnie odpowiedź na zaproszenie skierowane przez Wielopolskiego, by pisarz spotkał się z nim. Ten jednak nie mógł „pośpieszyć służyć JW Panu” z powodu choroby. Okoliczność ta zdaje się tłumaczyć fakt, iż większa część listu napisana jest obcą ręką, najprawdopodobniej przez Józefa Kaszkowskiego, członka redakcji „Gazety Polskiej” oraz domownika pisarza. Nadawca skreślił tylko fragment zaczynający się od słów „najniższy sługa”.

Po masakrze manifestantów pisarz przeszedł do opozycji wobec hrabiego, podobnie zresztą uczyniła większość społeczeństwa polskiego. Odtąd kontakty służbowe Kraszewskiego z Wielopolskim związane z redagowaniem „Gazety Polskiej” coraz częściej prowadziły do antagonizmów. Hrabia usiłował narzucić piśmu swoją linię polityczną, cenzura w drastyczny sposób ograniczała możliwości wypowiedziania się na tematy polityczne i społeczne. Kolejny list Kraszewskiego do Wielopolskiego wiąże się właśnie z tą sytuacją. Składa się on z czterech stron formatu 28,5 x 22,3 cm, z których zapisano półtora. Oto tekst:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Wczoraj chciałem osobiście wy-nurzyć JW Panu oburzenie, jakie

każdy uczciwy człowiek uczuć musi przeciw zamachowi tak niecnemu. Nie mając honoru widzieć JW Pana i nie będąc pewnym czy dzisiejszych kilka słów, które miały być zamieszczone w „Gazecie”, dozwolone zostaną, ośmielam się je przesłać JW Panu. W załączonym artykule znajdziesz JW Pan dowód, że organa prasy bez wyjątku gotowe są korzystać z każdej okoliczności, aby w zakresie swego powołania przyczynić się.

(strona druga)

do utrwalenia prawnych zasad społecznych.

Chciej JW Pan przyjąć wyrazy najgłębszego uszanowania i poważania z jakim mam honor zostawać.

Jaśnie Wielmożnego Pana
najniższym sługą
J.I. Kraszewski

d. 8 sierpnia 1862
Warszawa

Częste ingerencje cenzury ciążyły i utrudniały Kraszewskiemu zawodowe życie. We wrześniu 1862 roku cenzura otrzymała polecenie niewyrażania zgody na druk w gazetach wstępnych artykułów politycznych. Równocześnie „Dziennik Powszechny” (organ Wielopolskiego) zaczął atakować prasę za zajmowanie się polityką zagraniczną. Ignacy Baranowski w „Wielopolskich” napisał że „Wielopolski żądał, by „Gazeta Polska” ponierała jego politykę”. Kraszewski nie chciał dostosować się do tego żądania i postanowił opuścić „Gazetę”.

W maju 1862 roku pisarz zdecydował się „dociągnąć” redagowanie „Gazety Polskiej” do Nowego Roku, ale już 6 września przestał ją podpisywać, nadal jednak zajmował się pracami związanymi z przygotowywaniem kolejnych numerów. Dziesiątego grudnia tego roku na własną prośbę przestał być redaktorem, a w kilkanaście dni później (27 XII) pożegnał czytelników i powiadomił ich o ustąpieniu ze stanowiska ze względów rodzinnych a nie z powodu różnicy zdań. Prawdziwy powód porzucenia „Gazety Polskiej” Kraszewski ujawnił w liście do brata Lucjana, w którym napisał, że „wymagano tego u góry, utrzymując, że ja muszę opozycję” (Listy do rodziny, cz. I, Kraków 1932, s. 509).

Wkrótce po wybuchu powstania styczniowego Kazimierz Krzywicki, dyrektor Głównej Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, poradził pisarzowi, aby opuścił kraj, gdyż Wielopolski uważa jego obecność za niepożądaną. Kraszewski wyjechał z Warszawy do Dreżna 31 I lub 1 II 1863 r.

Opracował i do druku podał
ZDZISŁAW SZELĄG

leatr

Studio Teatru Kobiet

W DOMU Środowisk Twórczych po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć warsztatowy pokaz teatralny Studia, które powstało trzy lata temu, jako realizacja pomysłu nader interesującego i odważnego. Nie trzeba się dziwić długości czasu, bowiem organizacja, dobór potencjalnych aktorek, przygotowanie ich do samego pojmowania i rozumienia teatru wymagały czasu. Okazało się, że czas ten nie został zmarnowany, że zespół, kierowany przez Henryka Jachimowskiego (jego pomysły, pracował i to solidnie, co poznać można po owocach).

Prezentowane obrazy. Nie był to więc spektakl „pełnometradowy”, lecz fragmenty, sceny z takiego właśnie przedstawienia tekstu, znanego Czytelnikom, mianowicie: „Makijaż”, wystawianego już na kieleckiej scenie (1984) oraz w krakowskim Teatrze STU (1985) w reżyserii K. Jasieńskiego. Z tym większą ciekawością szedłem na ten pokaz, że tamte przedstawienia oglądałem. Muszę zaznaczyć, że pokazane obrazy (sceny) wypadły o wiele lepiej niż w Teatrze im. Żeromskiego przede wszystkim dlatego – tak myślę – że autor (H. Jachimowski) kierował bezpośrednio realizacją sceniczną, najlepiej więc wiedział, co i jak wygrać, wyakcentować, wyeksponować. Sam zresztą czuł nad realizacją krakowską, więc podpatrzył reżysera, robote aktorską nad konstrukcją postaci sceniczych. Wykorzystał te doświadczenia, wzbogacił je o nowe koncepcje i rozwiązania, dał własną interpretację własnej sztuki.

Eksperyment wypadł interesująco. Widać dużą dyscyplinę w grze aktorskiej, w ruchach, w gestach i

dużą naturalność w podawaniu tekstu, chociaż ujawniły się tu pewne braki w panowaniu nad głosem, brak skali – jedna barwa, jeden ton. Jest to brak do usunięcia. Natomiast One mają dobre głosy w śpiewanych fragmentach, potrafią wydobyć z tych tekstów cały liryzm skargi na los w brutalnym świecie. Myślę, że jednym z udanych epizodów (czy w ogóle udanymi epizodami) był ten wokalny fragment, który wydobywał kontrast między wymaganiami życia (świata) i pragnieniami serca. Nazwałbym to „tragicznością egzystencji”, która sobie bohaterki w pełni uświadamiają:

Dokąd płynie?

Dokąd płyniemy?

Niesyte wiecznie.

NIC znowu zdobywam.

NIC znowu zaczynam.

Czy nie ma nikogo, kto by

świat nasycił?

Czy już nie ma Boga, który

by nas wstrzymał?

Dokąd płyniemy?

Dokąd płyniemy?

Chcę zwrócić uwagę na poetyckość tego tekstu, niezwykle wręcz zsynchronizowanie rytmu z emocjami, podkreślające dramatyczne napięcia i tęsknoty w odkrywaniu sensu? celu? Obawa przed płynięciem „donikąd”, obawa przed pustką, tajemnicą, nieznanym.

Refleksja Jachimowskiego drąży nieustannie w głąb problemu: kto to jest – jaką rolę spełnia kobieta. Sam zresztą mówi często, iż najbardziej interesują go zagrożenia człowieczeństwa, wynikające z determinacji kulturowo-cywilizacyjnych i psychicznych oraz możliwości odkrycia istoty, prawdy o egzystencji. To niejaka filozofia antropologiczna autora „Makijazu”, nawet swoista obsesja w tym sensie pozytywnym, społecznym, ludzkim. To nie patologia, lecz bardzo ostro widziane problemy, niezgoda na nie, podpowiadanie buntu, jakby chęć „ucztowieczenia kobiety”.

Jest również w tym obrazie jeszcze jeden duży urody fragment śpiewany, wyrażający ów bunt:

Pójdź w świat!

Pójdźmy z naszą miłością

w świat!

Może tam przyda się komu.

Może potrzebuje jej kat,

może żołnierz lub w klatce ptak.

Element nowy: mała klatka z gołębiami wewnątrz. Symbolika nader wymowna, ale i wieloznaczna, bowiem formy uwieszenia są różne. Jedną z bohaterek mówi: „To mój mąż! Uwieszony”. Powracający ciągle motyw ograniczania wolności człowieka; to ograniczanie prowadzi do wypaczenia osoby, zmusza do przystosowania się, do rezygnacji z siebie. Determinacja więc idzie i



Sceny z warsztatowej prezentacji Studia Teatru Kobiet

Fot. JERZY MAKOWSKI

zewnątrz. Jachimowski jakby dodawał do kulturowo-cywilizacyjnej i psychicznej jeszcze polityczną. Wszystkie one wywierają presję na psychikę. Dotyczy to nie tylko kobiet. Dotykamy generalnie problemu struktury świata, w którym żyjemy. Struktury są nieprzychylnie, są agresywne w stosunku do wolności osobistej człowieka. W kontekście takich i wielu determinant autentycznie brzmi wyznaczenie CZWARTEJ: „Znów marzy mi się szczęście”.

W dramacie Jachimowskiego mamy więc do czynienia z dychotomiczną lub ambiwalentną strukturą: z jednej strony brutalny, egoistyczny, samolubny świat i ludzie – z drugiej człowiek (kobieta) z pragnieniem szczęścia, z pragnieniem miłości, z tęsknotą do czułości. Symbolizuje to bieg jednej z bohaterki, która chce wyjść z tego właśnie ustrukturalizowanego świata ku czemuś nowemu, ale biegnie po kręgu czyli wraca ciągle w to samo miejsce. Czyżby ów bieg należało tłumaczyć jako złudny? donikąd? bez celu? beznadziejny? Krag koła wyznacza granice działań, ale również wskazuje dobitnie na tragiczną sytuację bez wyjścia. Więc bunt nie ma perspektyw?

Rzeczywiście trudno wyzwolić się spod presji natury, jako jednej z determinant kondycji kobiecej, uwzględnionych przez Jachimowskiego, chociaż trudno także pogodzić się z jego sugestią, że natura przejawia się tylko w seksie. Ale obraz zapatrzenia wszystkich bohaterów w przestrzeń, skąd dochodzi łoskot wojskowego marszu: mężczyźni, mężczyźni, mężczyźni – powtarzają wielokrotnie aż do zaniknięcia głosu, całkowitego wyciszenia, potwierdza jednoznacznie presję natury.

Henryk Jachimowski umie stawiać pytania, prowokować, niepokoić, a nawet wyprowadzać widza (czytelnika) z równowagi propozycja opowiedzi na owe problemy czy też propozycja ich rozwiązania. W STUDIO TEATRU KOBIET robi to jeszcze mocniej niż w tekście pisanym, jest bardziej agresywny. To dobrze. Miał pomysł i uparcie stara się ten pomysł realizować. Ta, co pokazał, rokuje najlepsze nadzieje, że powstanie w Kielcach oryginalny Teatr Dużego Eksperymentu, wolny od schematów zawodowych i rutyny, które to czynniki zawsze determinują także sztukę. Trzeba się cieszyć z tego, co zrobił i życzyć mu wytrwałości w tej trudnej pracy w warunkach wcale niełatwych.

Marzeń nie trzeba się wstydzić

TAK mówi rezolutny bohater tej pięknej bajki, sam Kot w Butach:

*Marzeń się nie trzeba wstydzić.
Rzecz w tym, co w marzeniach
widzisz.*

*Jeśli piękne są marzenia
W rzeczywistość je przemieniają.*

Bajki zawsze były wyrazem ukrytych pragnień, próbą stworzenia świata, w którym ukazuje się niezwykła siła bohaterów – ludzi lub zwierząt – przełamanie twardych granic rzeczywistości fizycznej i logicznej przez wkroczenie poza prawa natury; dlatego w bajce człowiek może latać w powietrzu jak ptak, może przemieniać siebie i innych w rzeczy, zwierzęta za pomocą tajemniczych formuł i przedmiotów (np. hokus-pokus, unus-duo-tres... czarodziejskiej pałeczki) może kot mówić i chodzić w butach z ostrogami i nosić przy boku szablę, a na głowie fantazyjny kapełusz...

Takie są bajki, że w nich wszystko jest możliwe, jak we śnie; i wszystko jest kolorowe, jak w dziecięcej wyobraźni. Najbardziej zadziwia w bajce jeszcze to, że ten nierzeczywisty, nieprawdziwy świat przedstawiony najczęściej wyraża ważne prawdy o człowieku, o jego szczęściu lub nieszczęściu, o świecie, w którym żyje. Trudno jest więc orzec, że bajka to całkowite zmyślenie, czysta fantazja – trudno dlatego, że w niej jest tyle prawdy o życiu. A poza tym:

*Kto wie – co to rzecz prawdziwa?
Prawda także w bajce bywa.*

Dlatego bajki nie tylko dzieci czytają – czytają je chętnie także starsi, rodzice, nauczyciele, wychowawcy, bo bajki rozwijają wy-

obraźnię, ukazują kolorowe światy uludy, często odrywające człowieka od niedomogów rzeczywistości. Podkreślali i podkreślają ten czar bajek zarówno psychologowie, jak i poeci, artyści, wspominając „bajki własnego dzieciństwa”. Ta mądrość uniwersalna bajek nierzadko brzmi jak prawdziwa filozofia. Niemcewicz pisał, iż bajka stwarza możliwość mówienia prawdy.

*Kiedy wszystko źle się dzieje,
Kiedy nieufność, niezgody,
Zniszczywszy wszystkich nadzieje,
Zostawia rzeczy jak wprzód,
W smutnym losów naszych
względnie.
Niech przynajmniej wolno będzie,
Kiedy już prawda
niemiła nikomu,
Siedzącemu cicho w domu
Przed kochanymi współpracą
Powiedzieć prawdę pod bajki
postacią.*

Miał chyba dużo racji Niemcewicz twierdząc, że w naturze człowieka leży potrzeba bajki, skłonność do słuchania „pokrytej mowy” czyli mowy alegorycznej. Bajki uczą, bajki bawią, bajki mówią prawdę ukrywaną w śmiechu, w zabawnej historii, sytuacji niezwyklej. Ta funkcja bajki nadaje jej charakter moralistyczno-dydaktyczny, aluzyjny, paraboliczny. Franciszek Morawski (równieżnik Mickiewicza) pisał we „Wstępie do bajek”, wyjaśniając ich potrzebę i rolę społeczną:

*Gdzie można pieniądź napusza
się dumnie,
A zawiść cnoty stroi się pazurem,
Gdzie nowe błędy złatają się
tłumnie,
Stare znikają z oporem,
Gdzie kraje szpiegów
i żandarmów pełne,
Gdzie nadto ostre są cenzury
noże,
Gdzie prawdę trzeba obwijać
w bawełnę –
Tam bajka przydać się może.*

Otóż wracając do kieleckiego przedstawienia bajki Hanny Januszewskiej „Kot w butach”, wyreżyserowanej przez p. Bohdanę Radkowskiego, w opowieści plastycznej p. Jerzego Gorazdowskiego, trzeba powiedzieć, że jest to piękna opowieść i przypowieść o przyjaźni i wdzięczności, o pracy i uczciwości. Przyjaźń młynarczyka Jasia (Jerzy Kaczmarowski) z Kotem w Butach (Anna Skaros) jest wątkiem głównym całej fabuły. Zawiera się w tym wątku tradycja i marzenie. Tradycja ludowa ludzkich pragnień idealnych stanów uczuć, które przełamują wszystkie „moce

piekielne" czyli złe, uosobione w opowieści Januszeńskiej przez czarodzieja Bombastę (Józef Józefczyk) siega wstecz dziejów człowieka bardzo głęboko; marzenie o takiej przyjaźni nie opuszcza nikogo z ludzi od początku istnienia do czasów współczesnych. Na scenie widzimy więc taką właśnie przyjaźń i wdzięczność. Czy to jest tylko bajka dla dzieci?

To przedstawienie jest po prostu piękne z wielu względów i wiele czynników tworzy jego piękno. Przede wszystkim scenografia, rozplanowanie przestrzeni, niezwykle subtelne wykorzystanie koloru i kształtu, więc elementów zgoła wyłącznie plastycznych; operowanie światłem, kostiumy, w których aktorzy przemieniają się „nie do poznania” — wszystko to składa się na „zafascynowanie oczu”. Najprościej można powiedzieć, że jest to przedstawienie czyste. Myślę, że ta plastyczna idealność przedstawienia najbardziej dociera do dzieci rozwijając ich wyobraźnię. Efekty akustyczne (strzały z armat, wielka pałba przy zdobywaniu zamku czarownika) wprowadzają element grozy. Muzyka i śpiew dają uczucie ulgi, wprowadzają nurt liryczny. Wreszcie sami aktorzy, ubrani w kolorowe stroje, przypominają postacie z ilustracji znakomitego rysownika — Marcina Szancerę. Kot (Anna Skaros) jest tak elegancki, zwinny, giętki i mądry, iż trudno chyba wyobrazić sobie innego.

Doskonała zabawa dla dzieci pierwszego, drugiego i trzeciego wieku, bo ta bajka tyle prawdy mówi o szlachetności, o przyjaźni, o pięknej czystej miłości, przełamującej nawet różnice stanowe. Uzyskawszy zaś dobra po czarodzieju Bombaście „zaczyn młynarczyk poślubił Zosię i gospodarzył dzielnie, rzetelnie i sprawiedliwie”.

Potraktowano dzieci bardzo poważnie i wcale nie nużąc. Teatr, pamiętający o tych przyszłych swoich widzach, raz do roku (w roku ubiegłym również udane i kolorowe przedstawienie „Pana Dropsa” w reżyserii p. Ireny Byrskiej) daje dzieciom chwile dobrej zabawy, wzruszenia, przeżycia. Dobrze się dzieje także, że te przedstawienia robią ludzie tak kompetentni jak np. p. I. Byrska czy p. Bohdan Radkowski. Za to teatrowi, dyrekcji, aktorom z tego przedstawienia, reżyserowi, scenografowi i wszystkim INNYM, współtwórcom — w imieniu dzieci wieku pierwszego, drugiego i trzeciego serdecznie dziękuję.

STANISŁAW ZAK

książki

„Łysica gwarzy”

PRZYWRÓCONO nam — i jakże słusznie — pozostająca długi czas nie tyle w zapomnieniu, bo przecież ciągle przywoływana przez znawców i regionalistów, ile w niezrozumiałym zaniechaniu wydawców, debiutancka Józefa Ozgi-Michalskiego książeczka, ów młodzieńczy zbiór pisanych gwarą legend i bajd świętokrzyskich „Łysica gwarzy”, wydany po raz pierwszy w Kielcach w 1938 roku i teraz wznowiony w połączeniu z opublikowanym zaraz po wojnie (1945) cyklem zbliżonych charakterem wierszy z lat 1937 — 1939, wydrukowanych w „Oberku świętokrzyskim”, nadając temu nowemu, połączeniu zbiorowi nowy co nie znaczy, że ładniejszy i bardziej odpowiedni tytuł.*)

Niech tam, rzecz przecie nie w tytule książki, ale jej treści, w owych wywodzących się z kręgu ludowych podań i legend świętokrzyskich opowiastkach o siostrach z zaczarowanego, stojącego ponoć na Łyscu pałacu, świętym jeleniu i Emeryku, czy zbójcu Kaku; opowiastkach zasłyszanych — jak sam autor powiada — od chłopskiego gawędziarza Ozgi z Napękowa, odpowiednio przez pisarza wzbogaconych poddanymi trawestacjami znanymi z folklorystyki motywami. Są tu obok gadek humorystycznych („O św. Jonie w ołtorzu”) gadki opisujące miejscowe ludowe wierzenia („Jamrozek z Bielin”) opowieści zbrojnicke o zmyślonym chyba przez młodego pisarza Kacprze Ozdzie i nie występującym wprawdzie w układzie systematycznym polskiej bajki ludowej J. Krzyżanowskiego, ale za to istniejącym ponoć naprawdę zbójcu Kaku, są wreszcie opowiadania związane ze znanymi historycznymi wydarzeniami — spisaniem ks. Piotra Ściegiennego („Zdrada Janica”) i powstaniem styczniowym („Grzegorzek — Langiewicz”). Wszystkie — co zgodnie podkreślają krytycy (Stanisław Burkot, Helena Wolny) — z aluzjami do społecznej sytuacji chłopów, jako że Ozdi-Michalskiemu nie wystarczyło już samo, wzorem wielkich romantyków, poddawanie literackiej obróbce tradycyjnych ludowych motywów. I jak pisze

Stanisław Burkot: „Z uporem szuka śladów chłopskiej «pieśni buntu»... i próbuje na nowo to, co było przejęte z literatury ludowej, co podlegało przeróbkom i trawestacjom, co zostało obudowane inną wyobraźnią i poetyką — przywrócić chłopskości”.

Z owych gadek, z owych dopełniających je pierwszych utworów poetyckich, wśród których znajduje się uznawany przez samego Józefa Ozgi-Michalskiego za jego prawdziwy, dorosły literacki debiut — wiersz „Woskiem”, wysoko oceniony i drukowany w „Skamanderze”, wszyscy zgodnie wyprowadzają całą późniejszą twórczość autora „Sowizdrzała świętokrzyskiego”. Nie tylko zresztą ze względu na to, że w jego późniejszych prozatorskich utworach pojawiają się podobne, jeśli nie te same wątki i postacie (zbój Kakuś w „Czarach miłosnych”) nie tylko ze względu, na miejsce akcji, ale przede wszystkim wywodzący się z ludowego opowiadania, choć oczywiście ulegający zmianom sposób prowadzenia narracji, sposób obrazowania i stosowania chłopskiej metaforyki. To samo da się powiedzieć o humorze sytuacyjnym i słownym jego tekstów, o plebejskiej rubasznosci, a wreszcie o magiczności i nadrealizmie jego najnowszych powieści. Dobrze się więc stało, że mamy okazję do samodzielnego sprawdzenia tych porównań i krytycznych wniosków, a poza tym to przecież naprawdę świetna, pełna wartości, napięć dramatycznych, liryki i humoru literatura, w której odbiorze nie powinna współczesnemu czytelnikowi przeszkadzać gwarą, w jakiej godki i wiersze zostały napisane. Nie odeszliśmy przecież chyba zbyt daleko od jej źródeł.

(no)

*) JÓZEF OZGA-MICHALSKI — „Godki świętokrzyskie”. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie graficzne Bohdan Furnal. Łódź — Kielce 1935. Wydawnictwo Łódzkie, c. 80 zł.

Powroty Piętaka

„**P**OEZJA moja nie cieszyła się, nigdy szerokim rozgłosem, natrącała zawsze na opory, odrzucano ją częściej, niż rozumiano” — pisał Stanisław Piętak w swoich „Kartkach z dziennika” opublikowanych w wydawnym na rok przed jego samobójczą śmiercią zbiorze „Portrety i zapiski” (Warszawa 1963). Podkreślał przy

tym, że „nigdy nie była grą intelektu”, że jest uczuciowa i „chłopska, w swej najwewnętrzniejszej formie”, ale nie mógł się jednak pogodzić z częstym przedstawianiem go, jako zblakłego — we współczesności siernieznego chłopca i twierdził, że „kto tak mówi o mnie, nie czytał mnie nigdy, zna mnie tylko ze słyszenia...”.

Dla tych, którzy faktycznie może znają znakomitego poetę jedynie ze słyszenia, jest okazja, aby się mogli zrehabilitować i ten błąd naprawić, sięgając po jego wiersze, bo oto Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza rozpoczęła wydawanie „Pism” Stanisława Piętaka, które zapowiadają znajdujące się już w księgarniach dwa pierwsze tomy — właśnie „Utwory poetyckie” zawierające: pierwszy — „Poezje zebrane”, drugi — „Utwory rozproszone, inedita”, oczywiście też wierszowane.

Wraca do nas, jakby trochę zapomniany poeta, wracają jego wiersze, jak po dłuższej chorobie. Mogłoby śmiało teraz powiedzieć: „Znowu ożyły moje rzeczy dawne...”

Oto ja...

Próg wyszczerbiony
w rodzinnej chacie.

Cień zdeptyany krzykiem
nieszczęścia.
Ciało, które choć
gwałtownie pragnie,
wie, że już nie ujdzie
cierpienia.

Zanim przecie zacznie się — a powinno — wielkie Piętańskich wierszy czytanie, zanim zaczniemy smakować jego „pełne kompleksów, aluzji i bólesci niemal namacalnej” strofy, trzeba pokrótce najważniejsze sprawy z „życiopisaniami” poety przybliżyć czytelnikowi i przypomnieć. Więc, że urodził się w 1909 roku w podsandomierskiej Wielosiu, w chłopskiej rodzinie, która już wydała z siebie dwóch — ojca i stryja poety — ludzi próbujących pióra, że debiutował tomem wierszy „Alfabet oczu” (1935), wydając w tym samym roku następny, ale rozgłos przyniosła mu dopiero nagrodzona przez Akademię Literatury powieść „Młodość Jasia Kunefala” (1937). Wiersze jego nawiązywały początkowo do doświadczeń awangardystów, ale sięgał autor „Ziemi odpływającej na zachód” także do innych poetyk zmierzających na ogół w kierunku pewnego uproszczenia i eliminacji epickiej opisowości, właściwej wczesnym jego wier-

szom. Wydał Stanisław Piętaś ponad piętnaście zbiorów wierszy, kilka tomów opowiadań, powieści.

Nie miał Piętaś szczęścia do krytyków całej życia, ma je za to teraz, wiele lat po śmierci, u wydawcy, który oto wznawia i wydaje jego cały poetycki dorobek w porządnym, szczegółowym opracowaniu Stanisława Nycza, wychwalanego, jakże zresztą słusznie, na łamach „Tygodnika Kulturalnego” przez Zygmunta Trziszkę. Nyczą znany dobrze kieleckim czytelnikom poeta, wykonał iście tytaniczną robotę „sporządzając mnóstwo przypisów i komentarzy do wierszy autora „Odnalezionej poematu”, objaśniając zagadnienia warsztatu poetyckiego Piętaś, przytaczając mnóstwo wariantów poszczególnych utworów, wydobywając z papierów pośmiertnych autora z Wielosiu wiersze nigdy nie drukowane.

STANISŁAW PIĘTAŚ — „Pisma”. Utwory poetyckie. 1. Poezje zebrane, aneksy, przypisy. Przedmowa Stefan Lichanowski. Opracowanie i słowo wstępne Stanisław Nyczą. 2. Utwory rozproszone, inedita, przypisy. Warszawa 1935. LSW, cena 800 zł.

Sienkiewicz mało znany

S IENKIEWICZ mało znany? Ależ tak, wystarczy tylko obejrzeć tę skromną, urządzoną w czytelni czasopism na Pocztesze wystawę, aby się przekonać, jak mało jednak, w potocznym sensie, wiemy o autorze „Fana Wołodujowskiego” i jak wiele stron jego życia oraz twórczości pozostaje dla nas w cieniu, skąd warto je od czasu do czasu wydobyć na światło dzienne, nie tylko zresztą dla zaspokojenia prostej, zwyczajnej ciekawości.

Mówię tu o okolicznościowej poniekąd, związanej ze stoczerdziestą rocznicą urodzin i siedemdziesięcioleciem śmierci pisarza wystawie pt „Henryka Sienkiewicza z okazji z okazji”, za którym to niezbyt może atrakcyjnym tytułem kryją się bardzo istotne dla twórczości H. Sienkiewicza i interesujące są także i dla współczesnych jego wielbicieli i czytelników treści, dotyczące mniej znanej strony działalności pisarza, mianowicie dziennikarstwa, które było jego pierwszym zawodem, źródłem utrzymania i — co tu dużo mówić — drogą do sławy. Drogą, którą w dużym skrócie, acz nie pomijając najważniejszych na niej szpaltów milowych i zdarzeń przedstawia w wstępie do katalogu wystawy, jej autorka — starszy kustosz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki w Kielcach, mgr Ewa Piotrowska, która nawiasem mówiąc ma duże w urządzaniu podobnych wystaw wyczucie i doświadczenie. Była wszak współautorką ponad dwudziestu takich przygotowywanych przez

bibliotekę z najrozmaitszych okazji biograficznych, bibliograficznych i bibliofilskich wystaw, których wartości poznawcze trudno przecenić, a które często umykają z pola widzenia prasowym oceniaczom.

Przedstawiając niniejszym tę najnowszą ekspozycję, powiedzmy za jej autorką od razu, że prasa była dla Henryka Sienkiewicza nie tylko źródłem popularności jego nazwiska i pseudonimu oraz późniejszej sławy, ale także pierwszą twórczą księgą i późniejszą młodzieńczej udręki.

Zaczął się od odrzucenia przez sławny „Tygodnik Ilustrowany” jego wierszowane „Sielanki młodości” w 1867 roku, w którym to zresztą „Tygodnik” wkrótce opublikował rozprawę o Sepie Strzyńskim, po swoim prasowym debiucie — teatralnej recenzji w „Przeglądzie Tygodniowym”. Wtedy to, dwa lata później objął w „Gazecie Polskiej” stałą — ciepłego i często poprawianego przez Sikorskiego, naczelnego redaktora dziennika — posadę felietonisty.

„Ja chcę faktów! proszę o fakty!” powtarzał ponoć Sikorski ustawicznie młodemu „Litwosowi”, „kresząc mu wszystko, co było tylko żywym, oryginalnym i ponad szablon wyskakiwało” — który to fakt odnotowuję ku po-

krzepieniu serc współczesnych adeptomów pióra. Wszystko bowiem dobrze się skończyło, a Henryk Sienkiewicz sam został później redaktorem naczelnym nowego warszawskiego dziennika „Słowo”, w którym zresztą publikował po raz pierwszy, pisząc z odcinka na odcinek niezapomniany „Potop”, czytany kiedyś na głos sklepikarzem, szewcom i czeladnikom wprost ze świeżo nadeszłej gazety przez pocztmistrza w Staszowie, o czym wspomina Stefan Żeromski.

Współpracował też H. Sienkiewicz bez przerwy z licznymi czasopismami (m.in. „Bluszczy”, „Biblioteka Warszawska”, „Niwa”, „Wieniec”) i dziennikami („Kurier Warszawski”, „Czas”, „Słowo Polskie”) wszystkich trzech zaborów. Te właśnie liczne H. Sienkiewicza z prasą kontakty i zamieszczane w niej pierwodruki głośnych, ale nie tylko, utworów, stały się tematem omawianej tu wystawy (na którą złożyły się nieliczne ze względu na szczupłość miejsca wystawione w gablotach, będące w posiadaniu czytelni stare czasopisma, „aby przypomnieć o ich istnieniu, aby pokazać jak wyglądały znane nam i tak bliskie teksty w chwili, gdy ukazywały się oczom najczęściej zachwyconych nimi pierwszych czytelników).

(no)

listy

„W SIATCE SZPIEGÓW”

Przed lekturą artykułu „W siatce szpiegów” L. Kaczanowskiego obawiałem się, że przeczytam „gładiok felieton”, tymczasem moje mniemanie było błędne. Według mnie sprawę siatki szpiegowskiej autor opracował znakomicie. Nie ma tego w „Pamiętnikach Marcina”, a i w „Jodle” Borzobohatego sprawa nie jest przedstawiona właściwie.

Szkoda, że autor nie przesłał „sklerotycznemu staruszkowi”, bo tak zapewne mnie okiełbał po metryce urodzenia, swego artykułu przed oddaniem do druku do ewentualnego skorygowania, bo jest w nim błąd rzeczowy. Kompania odprowadzająca por. „Piotra” na urlop „zdrowotny” do Podlesia zatrzymała się we młynie w Nadolniku nie po odprowadzeniu porucznika, lecz w drodze do Podlesia. Jest to zasadnicza różnica, bowiem agenci gestapo zamierzali zlikwidować nie rodzinę Będkowskich, a por. „Piotra”. Tak, jak jest w artykule, napisał również „Marcin” dla zamydlenia oczu, aby ukryć prawdę, powiązania swoje i „Orla” z NSZ. Dlaczego Pan Redaktor wcale nie poruszył kluczowej sprawy: zwolnienia czy zamordowania oskarżyciela siatki szpiegowskiej, kapitana „Orkana”? Celowe pominięcie, czy przypadkowe? Czy Pan Redaktor naprawdę nie widzi niedołęstwa i zdrady szefów powiatowych AK i ścisłego powiązania „Marcina” z siatką szpiegów? Zwierzyniec, Zabrody, zamordowanie por. „Piotra” i kpt. „Orkana”!!! Tolerowanie przez 10 miesięcy siatki szpiegowskiej pomimo jaskrawych dowodów zdrady, pomimo ostrzeżenia „Sępa” już we wrześniu 1943 roku?

Łączę wyrazy szacunku i poważania

HENRYK SKOWRON
Dzierżgów

Uściśkałbym Pana, Panie Longinie po przeczytaniu wspaniałego artykułu „W siatce szpiegów”. Podaje Pan fakty zbrodni, zdrady i szpiegostwa oficerów AK od Mieczysława Tarchalskiego „Marcina”. Przypadkowo ktoś kupił w Szczekocinach marcowe „Przemiany”

gdzie jest Pański artykuł. Z rąk do rąk, po znajomości, już sporo osób go przeczytało i w moje ręce dostał się ten miesięcznik na kilka godzin. W moich wspomnieniach z lat 60., ja nie kto inny, opisuję właśnie działalność zdrajców, morderców i szpiegów z oddziału AK „Marcina”, „Orla”, „Ignaca”, „Modlina” i pięknej czarnulki, kochanki „Ignaca”, pani Bronderowej. Miałem z nimi „przyjemność” zetknąć się w Przyłęku, w młynie akowca Heńka Banasika, mojego kolegi. Byli tam „Orzeł”, „Ignac”, „Modlin” i ta czarna z Częstochowy Bronderowa, niby żona „Ignaca”, a faktycznie groźny szpieg. Nie czekając na „Marcina” groziłem wtedy, że ich rozstrzelam za spowodowanie pacyfikacji w terenie. Mam więcej materiałów o ich działalności szpiegowskiej, dlatego bliższy kontakt ze mną byłby wskazany. Dużo zdrowia i sukcesów w pracy redakcyjnej życzę

ppłk BOLESŁAW
WIARA-KOZŁOWSKI
Cherzów

„UCIECZKA”

W związku z artykułem Longina Kaczanowskiego nt. ucieczki więźniów z kieleckiego więzienia przy ul. Zamkowej chciałbym dorzucić trochę zapamiętanych faktów. Ja przebywałem na II oddziale (politycznym) od lutego do końca lipca 1942 r. W tym okresie pełniło dyżur czterech strażników gestapowców. Zmieniali się dobowo. Wśród nich było dwóch Austriaków. Zналиśmy ich tylko z przeszłości. Otóż gestapowiec o przezwisku „Książek” (w artykule „Ucieczka” pomyłka) nazywany był przez nas „Książę Wali”. Miał to przezwisko z powodu walenia bykowcem więźniów, a „Książę”, że zawsze chodził sztywno i dumnie. Był to mężczyzna wysoki, szczupły i miał charakterystyczną, długą szyję. Z powodu tej szyi posiadał drugie przezwisko „Gęsia Szyja”. Był najokrutniejszym dozorcą. Gdy wchodził do celi więźniowie musieli się natychmiast ustawiać w trójszeregu, jak w wojsku. Dokonywał przeglądu i rewizji po kieszeniach, a gdy ktoś mu się nie spodobał lub znalazł najmniejszy przedmiot w kieszeni, bił bez litości batogiem uśmiechając się przy tym szyderczo. Drugi dozorca, też rodowity Niemiec, miał przezwisko „Polnische Sprache”, ponieważ znał język polski. Usposobienie miał podobne do „Książki”, ale nie znęcał się nad więźniami.

Dwóch pozostałych strażników było z pochodzenia Austriakami. Wspomniany w artykule strażnik „Pereika” był człowiekiem bardzo ludzkim. Widać było po jego zachowaniu, że współczuł więźniom ich losu. Podczas dyżuru wchodził często do celi, zapalał papierosa i raz zaciągawszy się rzucił go na podłogę. Następnie szybko wychodził z celi, aby więźniowie mogli skosztować upragnionego papierosa. Kiedy prosiło się go o przyniesienie kartki pocztowej, nigdy nie odmówił. Przychodził po jakimś czasie do celi, aby zabrać napisaną pocztówkę i wrzucić do skrzynki w mieście. Drugi strażnik, Austriak, nazywany był przez więźniów „Franzem”. Jego zachowanie wobec nas było podobne do „Pereiki”, ale nie był już tak uczynny i ludzki, jak jego rodak. Podobno po ucieczce więźniów 29 listopada obu wysłano na front wschodni.

Co do więźniów przebywających w tym czasie w celi, w której ja przebywałem, zapamiętałem nazwiska bardziej znanych obywateli m. Kielc. Duchowni: ks. Szwałnoch (sekretarz biskupa Kaczmarska), ks. Wajda, ks. Dziecioł i ks. Janowski z Piekoszowa. Płk Cudek, prof. Guzik, muzyk Aleksander Hernes, cukiernik Boruszyński, komendant policji granatowej Zdaniewicz, Jan Kubacki, Bronisław Kowalski, dwaj bracia Sokalscy, podchor. Rembosz i inni, których nazwisk dzisiaj już nie pamiętam. Liczba więźniów w celi wahała się od 25 do 30 osób. Spało się na słomiankach, na podłodze, a gdy w nocy chciało się przewrócić na drugi bok, to trzeba było budzić sasiada, aby i on to uczynił. Jedzenie: czarna gorzka kawa zbożowa, czarny gliniasty chleb i podzia marmolada. Na obiad zupa z brukwi i czarny chleb. Przy sile fizycznej utrzymywała nas jedynie zupa podawana w niedziele przez „Caritas”. Była to bardzo gęsta zupa, zawierająca kawałki mięsa, słoniny, włoszczyzny i inne dodatki odżywcze.

Stanisław Depczyński-Oleśiński wspomina nazwisko, Teofila Jarońskiego z Dobromysła. Jest to mój stryjeczny brat. Zginął pod koniec wojny na dworcu we Wrocławiu. Internowany jako uczestnik powstania warszawskiego i wywieziony do obozu w Niemczech. Kilka dni przed zakończeniem wojny zbiegi z obozu i wysiadając z pociągu nie zauważył, że na sąsiednim torze rozładują wagony z amunicją, zaczął uciekać i zginął zastrzelony przez patrol niemiecki.

Z poważaniem
MAREK JAROŃSKI
Kielce

nie tylko o literaturze

Jubileusz

PYTANIE: A więc obchodzisz dzisiaj swój felietonowy Jubileusz. Przyjmij serdeczne gratulacje! Ile to już lat?

ODPOWIEDZ: Nie udawaj, że nie wiesz. W lipcu mijają właśnie trzy lata od czasu, gdy w „Przemiśnach” pojawiła się rubryka: „Nie tylko o literaturze” i...

P. No i co?

O. No i nic...

P. Może trzy lata to jeszcze za mało, żeby osiągnąć jakieś wyniki?

O. Może...

P. O czym pisałeś w ciągu tych trzech lat?

O. O wszystkim i o jeszcze o kilku sprawach. O literaturze przede wszystkim, o spotkaniu w szkole, o pijaczkach na placu Partyzantów, o twórczości dziecięcej, o obyczajach, o bzdurnych piosenkach, o młodzieży do lat 35, o grupach i kliczkach...

P. No i...?

O. Dziękuję, wszyscy zdrowi! Pijaczki siedzą nadal, a Ojcu Miasta nic to nie przeszkadza (widocznie Jego okna wychodzą na drugą stronę, na szczęśliwych nowożeńców), piosenki są jeszcze bzdurniejsze, młodzież coraz starsza, obyczaje takie same, a kliki i grupki...

P. Wiemy, wiemy. Nie zniechęca cię to?

O. Co?

P. Ten brak odzewu na twoją pisaninę? A może, przepraszam cię, może po prostu nie najlepiej to robisz?

O. Wiesz, że taka myśl już mi kiedyś zaświtała...

P. Samokrytyka? A jak wygląda kontakt z Czytelnikami? Te setki listów aprobaty i oburzenia...

O. Nie uwierzysz, ale w ciągu tych trzech lat otrzymałem dwa (słownie: dwa) listy, w tym jeden pomyłkowo...

P. Widocznie Czytelnicy wolą jednak czytać niż pisać?

O. Sam bym wolął...

P. To może nie pisać?

O. Już o tym myślałem, ale Redaktor Daniel narzekał na mnie, że będzie miał „dziurę” w numerze i że są tacy, co się już przyzwyczaili. Dał mi słowo honoru i sto złotych podwyżki...

P. Uległeś bodźcom materialnym?

O. A kto by się oparł?

P. A jak stosunki ze środowiskiem twórczym w Kielcach?

O. Ogólnie biorąc dobre. Wiesz, zrobiłem sobie na własny użytek taką miniankiętę, o kim pisałem, kogo ile razy wymieniałem...

P. No i...?

O. Co ty z tymi „no i”, to nieładnie! A ankieta wygląda mniej więcej tak: Z.J. Adamczyk — 24 razy, Żeromski — 24 razy; A. Barióg — 1, W. Burek — 1; H. Jachimowski — 4, Wyspiański — 1; Z. Nosal — 6, Dygasiński — 2, S. Nyczaj — 5, J.M. Gisges — 1, A. Lenartowski — 8, Mickiewicz — 1, doc. J. Paclawski — 7, prof. J. Nowak-Dłuzewski — 1, doc. M. Szyszkowska — 28, Kant — ani raz, prof. M. Niziurski — 2, Moniuszko — ani raz, B. Augustyniak — 2, Jaracz — ani raz i tak dalej, i tak dalej.

P. A konsekwencje?

O. Dwie drobne „pyskówki” bez konsekwencji...

P. A jak przyjmują twoje felietony w WSP, gdzie pracujesz?

O. Dziękuję, dobrze. Nie czytają...

P. Ejże?

O. No, czasami studenci. I nawet chwalą, ale to tylko przed egzaminem.

P. Czy to nie zbytnia skromność? Stajesz się przecież kimś znanym w Kielcach. „Echo” zamieszczało nawet wywiad z tobą...

O. No właśnie, sam nie mogłem się z tym wywiadem poznać. taki byłem pozytywny i wzorowy...

P. Pan Lenartowski zrobił ci wieczór w Pałacu Zielińskiego...

O. Ale ku swojej czci, bo mi nie dał mówić... (Zauważ, wymieniał Go po raz dziewiąty).

P. Występowałeś też z odczytem o twórczości Ryszarda Miernika...

O. Tak, ale Pisarz powiedział mi, że nie jest przygotowany do dyskusji...

P. Może się przestraszył?

O. Mnie? Raczej chciał mnie oszczędzić...

P. Możliwe. A w ogóle, jak się czujesz w Kielcach, to przecież już twój drugi dom?

O. Naprawdę dobrze. Polubiłem miasto i ludzi, i swoją pracę. Czuję się potrzebny w WSP, jestem zadowolony i usatysfakcjonowany.

P. Zadowolony? To brzmi dzisiaj prawie niewiarygodnie. Gdy wszyscy wokół narzekają i wybrzydają...

O. Może jestem niepoprawnym optymistą, a może wystarczy mi stwierdzenie, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej...

P. To program minimum. A program maksimum?

O. Robić to, co dotychczas, także i pisać, szukać nowych form kontaktów z Czytelnikiem, może też podejmować nowe inicjatywy...

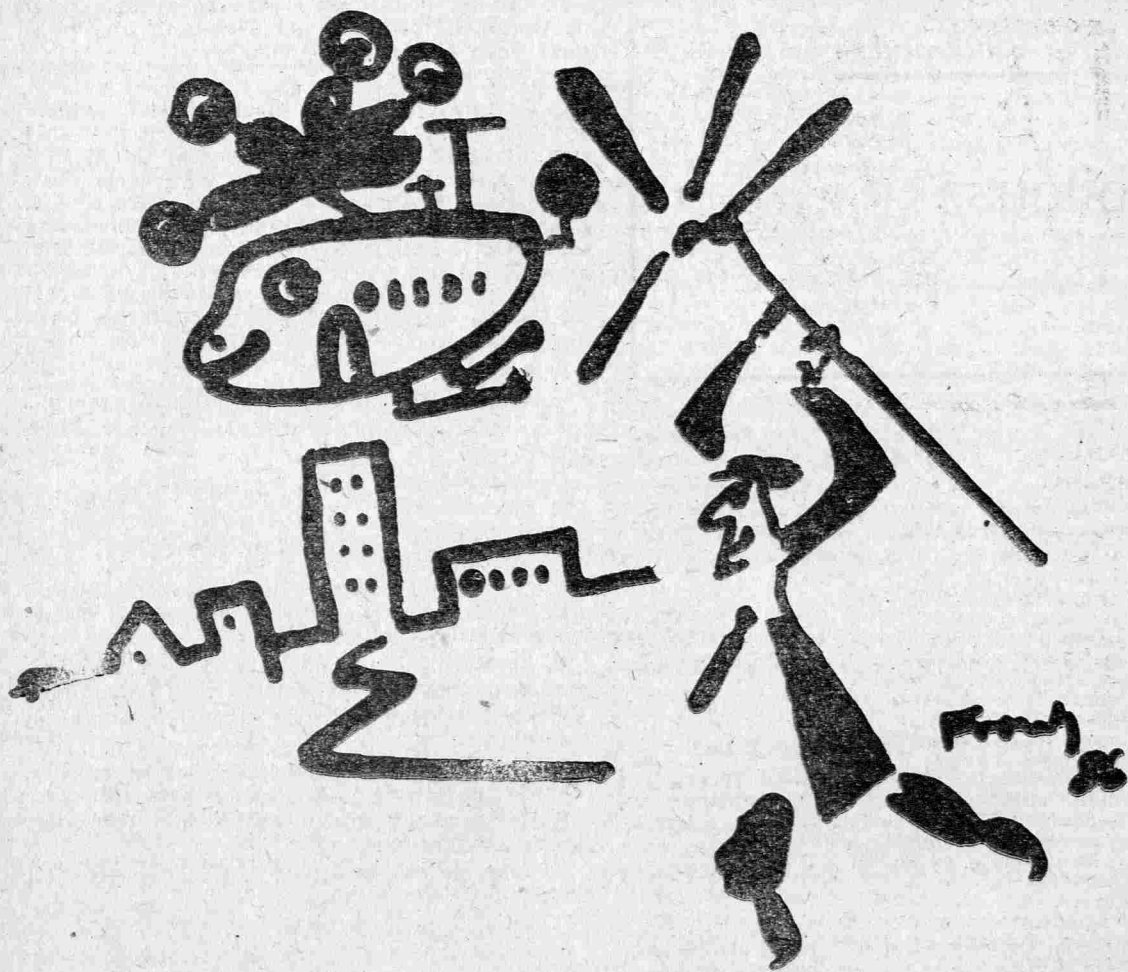
P. No właśnie, co ze Stowarzyszeniem Miłośników itd.?

O. To, co przewidywałem. Zupełnie jak u Mrożka: „A może by coś zasiać? — Eeeee!”. Red. Daniel czuwał przy telefonie na okrągło i nic. Nikt się nie odezwał...

P. I tym optymistycznym akcentem zakończymy chyba naszą jubileuszową rozmowę. Dziękuję ci, że znalazłeś chwilę aby pogadać.

O. Zawsze do usług. Do zobaczenia za kilka lat.

Z red. Józefem Rurawskim rozmawiał
JOZEF RURAWSKI



Rys. Jerzy Fronczyk

Prosto z Wąchocka

W Wąchocku skrzyżowano szpaka z żyrafą i otrzymano kambajn do zrywania czereśni.

Mają tu prawdziwego senatora. Widziano, jak dwóch pijanych szło po kolejowym nasypie i jeden drugiemu proponował: siądź se na torze.

W W. oglądają program telewizyjny tylko na dwudziestej. Dlaczego? Ponieważ dokładnie o tej porze soltys zamyka już okiennice.

Kiedy nad Wąchockiem przelatował helikopter, soltys biegł przez wieś wołając: cepami, cepami tego robola!

W W. rozkopują górkę, bo soltys ma jesienią postać córkę do szkoły.

Wkrótce w Wąchocku ulegnie zmianie stopa życiowa: wzrasta płaskostopie.

Ze względu na wysokie ceny klienci do tutajszych sklepów chodzą na szczudłach.

Opowiadają w Wąchocku, że wszyscy starachowiczanie chcą mieszkać na najwyższych piętrach wieżowców, żeby zobaczyć jak wygląda koniec świata.

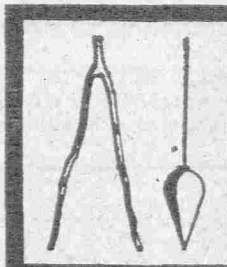
Soltys Wąchocka pobił rekord w trójskoku. Skoczył trzy metry.

W W. skrzyżowano węża z jeżem, — mają teraz drut kolczasty.

Soltys z Wąchocka kupił żonie wspaniały krem odmładzający. Po drugim opakowaniu musiał dla niej zamówić u stolarza kotłuskę.

Najświeższe w Polsce powietrze mają w Wąchocku — tu nikt nie wieprzy mieszkać.

(Nadesłali R.S. z Wąchocka, T. Zaniat z Kunegundowa, T. Wojtasinska z Kormornik i A. Gajek z Ostrowca).



z różdżką i wahadelkiem

EDWARD SEWERYN GAJEWSKI

14.

BADANIA

APARATEM G-ETER

Czytelnicy zajmujący się radiestezją powinni wiedzieć, że poza omawianym przeze mnie aparatem G-ETER, który posiada wiele zalet i jest przydatny do wszystkich badań, są jeszcze inne przyrządy typu graficznego, w których rysunek kształtu jest obliczony geometrycznie z przeznaczeniem do badań radiestezyjnych. Zastosowane są w tych przyrządach podziałki (skala w stopniach milimetrach lub punktach umownych) o ustalonych jednostkach miary, wg Międzynarodowego Układu Jednostek (SI) lub ich wielokrotnościach albo podziałki tych przyrządów oznaczone są znakami umownymi odpowiadającymi innym wartościom lub pojęciom zdarzeń. Przy posługiwaniu się takimi przyrządami, badania radiestezyjne różnią się od zwykłych badań fizycznych przyrządem, metodą i sposobem badania, choć mogą dotyczyć tych samych zjawisk. Aparat G-ETER jest przyrządem graficznym niewyskalowanym, który w połączeniu z zastosowanym do badania wahadelkiem pozwala uzyskać wskazania „TAK” lub „NIE” przez oscylacje wahadła lub wskazania obrotami w prawo albo w lewo.

Wahadłko - współpracujące z aparatem G-ETER, pracuje lekko i z dużą czułością, a zatem amplituda wahadła, tj. jego siła wahan, ma duże znaczenie dla odpowiedzi. Np. sprawdzamy dla siebie chleb razowy, wahadłko wskazuje nam „tak” z bardzo dużą amplitudą oscylacji, wychodzącą poza punkty, w których znajduje się świadek-chleb i nasz palec lewej dłoni. Wskazanie takie oznacza - „TAK, chleb razowy bardzo potrzebny, wskazany, a nawet konieczny dla badającego”. Gdyby amplituda była mała, należałoby przyjąć taką odpowiedź - „TAK, może być, ale nie jest konieczny chleb razowy dla badającego”. Tym prostym przykładem zilustrowałem

wskazania ruchu wahadła w postaci oscylacji i znaczenie amplitudy w przeprowadzanym badaniu.

Z podobną interpretacją amplitudy spotkamy się w badaniu, kiedy wskazania wahadła wykonywać będą ruchy obrotowe w prawo albo w lewo. Poza tym ruchy wahadła i amplituda uależnione są od intensywności promieniowania badanego obiektu, od odległości obiektu, ciężaru wahadła, sprawności i czułości radiestezyjnej badającego oraz warunków otoczenia w jakich przeprowadza się badania i wielu innych czynników. Wskazania wahadła obrotami w prawo, zgodnymi z ruchem wskazówek zegara, poza podstawowym znaczeniem „tak”, dodatkowo oznaczają - polaryzacja ujemna (znak „-”), pożyteczny, bardzo dobry lub bardzo dobrze, potrzebne, zdrowy, nieszkodliwy itp., zawsze jako odpowiedź potwierdzająca na zadane pytanie. Wskazania wahadła obrotami w lewo, czyli przeciwnymi do poprzednich, poza znaczeniem „nie”, dodatkowo oznaczają - polaryzacja dodatnia (znak „+”), zły, źle, niedobry, niedobrze, szkodliwy, chory, niepotrzebny itp., zawsze jako odpowiedź przecząca. Bezruch wahadła określa brak możliwości uzyskania odpowiedzi na zadane pytanie z powodu źle sformułowanego pytania, przemęczenia organizmu lub po prostu z braku promieniowania badanego obiektu albo z innej nieznannej przyczyny.

Z pomocą aparatu G-ETER możemy przeprowadzać różne badania nie tylko produktów żywnościowych ale wszystkich innych „rzeczy”, z którymi energia myśli ludzkiej wchodzi w mentalny kontakt, np. z oddziaływaniem różnych szkodliwych promieniowań pochodzenia naturalnego lub sztucznego. Aparat G-ETER z powodzeniem można wykorzystać do badania jedzenia, lekarstw lub innych wyrobów dla osób chorych w rodzinie, które leżą w łóżku albo dla małych dzieci, które jeszcze nie chodzą i z tego powodu nie mogą podejść do ustawionego apa-

ratu, żeby położyć palec lewej dłoni na polu „- +”. Trzeba posłużyć się świadkiem tej osoby, której mamy wykonać badanie. Potrzebna będzie „serwetka” z białego kartonu bloku technicznego o wym. 3x3 cm, na którą nakleimy przy pomocy małej kropli kleju lepko kilka lub kilkanaście włosów długości 2 cm związanych czarną nitką bawełnianą pośrodku. Włosy przygotowywanych do zrobienia świadka nie wolno dotykać nikomu, również osobie wykonującej badanie. Należy posługiwać się pęsetą przy kładzeniu świadka do badania na polu „- +”. Po skończonym badaniu chowamy świadka do białej papierowej koperty, w której przechowywać go będziemy do następnego badania. Służyć nam będzie do różnych badań przez dłuższy czas. Badanie ze świadkiem przeprowadza się tak samo jak każde inne badanie, które omawiane było w poprzednim odcinku w czerwcu.

Dotychczas do naszych badań wykorzystana była część pionowa aparatu z dużym czarnym polem spolaryzowaną neutralnie. Część pozioma aparatu G-ETER pracuje w układzie normalnej polaryzacji „- +” i odpowiada biegunom „S - N” układu fizycznego. Małe czarne pola na końcach osi „S-N” służą również do badań radiestezyjnych, m.in. do porównywania tzn. do badania podobieństwa pewnych cech występujących w badanych obiektach. Tym sposobem możemy sprawdzać jakość produktów żywnościowych, ich wagę, skład surowcowy termin ważności produktów spożywczych i lekarstw, znaleźć środek zastępczy - odpowiednik lekarstwa, a także dokonać identyfikacji pisma odrębnego, ziół, roślin i innych pożytecznych analiz. Wykonując badanie w tej części przyrządu należy zapamiętać (!), że na czarnym polu „S” zawsze kładziemy wzorec o cechach nie podlegających zastrzeżeniu albo jego świadka, a na czarnym polu „N” kładziemy to, co ma być obiektem badania. Ruch wahadła oscylacyjny wzdłuż linii łączącej badane obiekty będzie oznaczał - „tak”, zgodność, odpowiada, nadaje się dobre itp., natomiast ruch wahadła działający linię „S - N” pośrodku wahadła wtedy oscyluje wzdłuż linii z czarnym polem, będzie oznaczał - „nie”, niezgodny, nieodpowiedni, nie nadaje się itp. Badania wykonywane w tej części przyrządu G-ETER, również wymagają zadawania pytań.

Za miesiąc napiszę o pomocniczym przyrządzie do badań, podam też kilka porad dotyczących wyboru najlepszej pracy radiestezyjnej.

apteka natury

(52)

Redaguje
lek. med. JADWIGA GORNICKA,
specjalista chorób wewnętrznych

WODA

ACZKOLWIEK wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę ze znaczenia wody dla procesów życiowych w przyrodzie, w tym również dla człowieka, to wydaje się uzasadnione i celowe, by w „Aptece natury” znalazło się kilka uwag na temat tego nadzwyczaj ważnego w naturze właśnie związku tlenu i wodoru. Nie każda bowiem woda jest jednakowo zdrowa i wskazana dla organizmu.

Woda do celów spożywczych nie powinna być zbyt twarda i nie powinna zawierać szkodliwych zanieczyszczeń chemicznych i biochemicznych. Powinna natomiast być bogata w tlen, zawierać dwutlenek węgla oraz nieco chlorków. Wodę oczyszcza się przez destylację a dezynfekuje przez przepłukanie powietrzem lub potraktowanie mlekiem wapniowym. Brunatny osad węglowodoru żelaza usuwa filtracja. Podobnie usuwa się związki manganu. Smak i zapach wody poprawia filtracja przez węgiel aktywny. Najsmaczniejsza i najzdrowsza jest woda występująca na głębokości 5–30 m. Wody podziemne, zwłaszcza jeśli brak naturalnych warunków filtracyjnych (np. piasek) zazwyczaj bywają zanieczyszczone i nie nadają się do picia.

Woda jest podstawowym składnikiem żywych komórek. Substancje rozpuszczone w wodzie uczestniczą w procesach przemiany materii dostarczając energii potrzebnej do budowy protoplazmy komórek oraz ich wzrostu i prawidłowego funkcjonowania. Woda jest jedynym rozpuszczalnikiem obecnym w organizmie ludzkim.

Organizm człowieka zawiera 65 proc. wody, a krew 78 proc. Utrzymanie tej równowagi procentowej wiąże się z koniecznością regularnego uzupełniania wody. Szczególnie dużo wody potrzebują woda do rozpuszczania żółci. Organizm potrzebuje wody do rozpuszczania soli kwasu moczowego, złogów i produktów zalegających w ustroju z powodu zbieg przemiany materii oraz pokarmu zalegającego w żołądku.

Człowiek pobiera dziennie przeciętnie dwa litry wody — bezpośrednio bądź z produktami spożywczymi. Woda szybko przechodzi do jelita cienkiego, a następnie do krwi za pośrednictwem kapilarów. Krew rozprowadza tę wodę do komórek i przestrzeni międzykomórkowych gdzie służy do odżywiania oraz wydalania odpadów z moczem i potem.

Niedobór wody przejawia się u człowieka jako pragnienie, które jest odczuciem spowodowanym wzrostem stężenia soli i białek we krwi. Natomiast gdy krew jest bardzo rozrzedzona — powiększają się komórki, co powoduje u człowieka odpowiedni refleks. Następuje wzmożone wydalanie moczu wraz z solami, co narusza równowagę pracy komórek.

Należy zwracać uwagę na właściwe proporcje soli mineralnych w wodzie:

1. Magnez. Korzystny w małych ilościach (10–100 mg). Wchodzi w skład kości i tkanek miękkich. Nadmiar Mg czyni wodę przeczyszczającą.
2. Wapń. Nadmiar wywołuje kamice.

3. Jod. Pierwiastek korzystny. Jego optimum wynosi 0,1–1 mg. Organizmowi szkodzi zarówno niedobór jak i nadmiar jodu.
4. Fluor. Jego niedobór sprzyja próchnicy (stad fluorowanie wody wodociągowej), ale jego optimum wynosi 0,01–0,1 mg. Nadmiar fluoru przechodzi do kości gruczołów wydzielania wewnętrznego — przysadki mózgowej i tarczycy — wywołując różne zaburzenia.
5. Miedź. Optimum 1–10 mg. W małych dawkach nie jest szkodliwa, ale powoduje zły smak wody.
6. Selen. Optimum 1–10 mikrogramów.
7. Chrom. Optimum 0,1–1 mg.
8. Arsen. Optimum 0,1–1 mg.
9. Ołów. Optimum 0,1–1 mg. Ale Pb jest szkodliwy, gdy w litrze wody występuje więcej niż 0,1 mg. Dobrze jest rano odkręcić kran na kilka minut, co pozwala odpłynąć szkodliwym osadom.
10. Azotany. Małe ich dawki nadają wodzie świeżość i przyjemny smak.
11. Azotyny. Są szkodliwe. Wody z ich zawartością nie należy używać do celów spożywczych.

Składniki organiczne występujące niekiedy w wodzie mogą wywołać ciężkie choroby, np. wirus zapalenia nerwowego, którego chlor nie niszczy.

Rozmieszczenie wody w ustroju podlega stałym zmianom. Kontrolują to siły osmotyczne dzięki substancjom rozpuszczonym w wodzie ustrojowej. Wpływa to na równowagę kwasowo-zasadową. Zmiany w elektrolitach, które należą do substancji rozpuszczonych w wodzie ustrojowej, powodują odwodnienie organizmu. Odwodnienie wewnątrzkomórkowe objawia się silnym pragnieniem, mdłościami, wymiotami, suchą skórą i językiem, zageszczonym moczem, utratą koordynacji ruchów. Niedobór elektrolitów (kationy: sól, potas, wapń, magnez i m., aniony: m.in. kwasy organiczne, białko) wywołuje obrzęk wewnątrzkomórkowy co prowadzi do zmniejszenia objętości płynów międzykomórkowych. Prowadzi to do obniżenia ciśnienia krwi i jej objętości, zwolnienia krążenia i uszkodzenia czynności nerek. Chory staje się coraz słabszy zwiększa się u niego stężenie białka, obniża stężenie sodu i chlorków. Odwodnienie należy leczyć bardzo szybko w szpitalu. Przy nieodróżnieniu jelit, zżewieniu odźwiernika, wymiotach — utrata płynu następuje w górnej części przewodu pokarmowego. Należy pić wówczas dużą ilość lekko osolonej wody. Przy chronicznych biegunkach, stanach zapalnych trzustki i dróg żółciowych, należy pić bogatą w sól i dwuwęglan. Odwodnienie jest często następstwem choroby przewodu pokarmowego, cukrzycy choroby Addisona (nadnerczy), mocznicy (uremii) rozległych oparzeń.

I jeszcze praktyczna uwaga. Nie należy pić i używać do celów spożywczych wody destylowanej. Woda ta łączy się z wapnem zębów, komórek i z niektórymi produktami spożywczymi. Aby temu zapobiec, trzeba wodę destylowaną wystawić na kilka godzin na działanie promieni słonecznych. Można również zamoczyć na noc w takiej wodzie warzywa, owoce, nasiona np. lucerny, pszenicy. Wówczas woda nabierze właściwości pokarmu wyplukującego z krwi i komórek nagromadzone tam toksyny. Detoksykację wzmagają kiełki, zarodki i soki owocowe. □

kronika

AKADEMIA MEDYCZNA w Kielcach nabiera coraz bardziej wyrazistych kształtów. W ostatnich tygodniach został uczyniony kolejny krok w kierunku otwarcia w mieście trzeciej samodzielnej wyższej uczelni. Pomiedzy wojewodą kieleckim a rektorem krakowskiego Wydziału Lekarskiego tej uczelni podpisano porozumienie, które działającą w Kielcach Katedrę Nauk o Życiu i Klinicznego Wydziału Lekarskiego tej uczelni podnosi do rangi Instytutu Medycyny Klinicznej. Zarazem jednocześnie wydziałów szpitalnych uzyskało status klinik. Kielecki medyczny ośrodek naukowy dydaktyczny otrzyma oparcie (baza szkoleniowa dla studentów, zaplecze naukowe dla pracowników) w budowanych obecnie szpitalach — MSW oraz onkologiczno-pediatrycznym. Zajęcia będą prowadzone również w nowych obiektach szpitalnych niedawno powstałych w województwie. W instytucji będą kształcić się w systemie stacjonarym słuchacze Wydziału Lekarskiego lat IV—VI — po pięćdziesięciu z każdego roku studiów.

FILIA Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN powstała w Kielcach. Kieleccy naukowcy z Politechniki Świętokrzyskiej uczestniczyć będą w opracowaniu i realizacji dwóch programów badawczych tej warszawskiej placówki: podstawy i mechanizmy racjonalnej gospodarki energetycznej w budownictwie mieszkaniowym (cel badań: opracowanie rozwiązań technicznych zmniejszających o 40 proc. zużycie energii w eksploatacji budynków mieszkalnych — temat na pięć lat, natomiast zadanie perspektywiczne to przygotowanie projektu budynku, którego utrzymanie będzie potrzebowało o 10 proc. energii mniej, niż dzisiaj) i program drugi: układy ze sztuczną inteligencją dla maszyn, robotów i pojazdów.

PARK ETNOGRAFICZNY w Tokarni pod Kielcami został, po wielu latach prac, wreszcie oficjalnie otwarty. Skansenowi daleko do jego ostatecznego kształtu, to dopiero czwarta część tego, co ma być eksponowane w Tokarni. Otwarcie więc skansenu nie przerywa prac, wykonywanych solidnie i fachowo przez Zakład Remontowo-Konserwacyjny i Produkcji Pamiątek Towarzystwa Przyjaciół Górnicstwa i Przemysłu Staropolskiego. Faktycznym bowiem współtwórcami skansenu są ludowe cięśle, murarze, zduni, kowale, wytwórcy gontów i fachowcy od poszywania dachów słomą. Dyrekcja Muzeum Wsi Kieleckiej wysoko ocenia ich pracę, chwali załogę i kierownictwo Zakładu. Z okazji otwarcia skansenu odbyła się sesja naukowa „Odwzorowanie struktury osadniczych w muzeach skansenowskich”.

REKTORZY kieleckiej WSP i Instytutu Pedagogicznego im. Miko-

łaja Ostrowskiego w Winnicy na Ukrainie podpisali umowę o współpracy uczelni. Umowa przewiduje m.in. wymianę doświadczeń, wzajemne kontakty robocze pracowników naukowych i studentów.

WYDZIAŁ Materiałoznawstwa i Technologii Obuwia radomskiej WSI istnieje już 35 lat. Z tej okazji odbyło się uroczyste posiedzenie rady wydziału z udziałem m.in. gości z uczelni w Bułgarii i NRD oraz konferencja naukowa poświęcona problemom przemysłu skórzanego i chemicznego.

CZTERDZIESTOLECIE kieleckich szkół muzycznych zostało zaakcentowane uroczystym koncertem uczniowskim. Wydarzeniem było koncertowe wykonanie baletu „Harnasie” Karola Szymanowskiego (orkiestra filharmonii, której towarzyszył chór szkolny). Podczas uroczystego spotkania uczniów, absolwentów i pedagogów została wręczona nagroda Barbary Łojek z Nowego Jorku. Otrzymała ją Dorota Gajek z klasy skrzypiec Andrzeja Zuzanskiego.

PROF. WŁODZIMIERZ SEDLAK, twórca elektronicznej teorii życia, został laureatem nagrody Funduszu Literatury w dziedzinie pamiętnikarstwa za książkę „Życie jest światłem”, kreslącą życiową i naukową drogę badacza prowadzącą do bulwersujących naukę odkryć i teorii.

NAGRODY im. Mieczysława Radwana, wybitnego uczonego, historyka techniki, który swą pracą i życiem związał się z Kielecczyną, przyznawane dorocznie przez Towarzystwo Przyjaciół Górnicstwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego, otrzymali w tym roku prof. dr hab. Jan Pazdura za wybitne osiągnięcia w badaniach naukowych nad historią przemysłu w Okręgu Staropolskim, oraz doc. dr hab. Zbigniew Wójcik za badania w dziedzinie historii geologii i górnictwa.

„WESPAZIAN KOCHOWSKI I JEGO CZASY” — konferencję naukową pod tym tytułem zorganizowało Muzeum Historyczno-Archaeologiczne w Ostrowcu Świętokrzyskim.

PO RAZ TRZYNASTY Oddział Wojewódzki PAX w Kielcach i ZZG Zespół Handlu „Veritas” w Warszawie zorganizowały konkurs i wystawę „Współczesna ludowa sztuka sakralna”. Jury pod przewodnictwem prof. Romana Ręfnusa przyznało nagrody: w dziedzinie malarstwa pierwszej nie przyznano, dwie drugie otrzymali Eugeniusz Bożek z Szadiszowa i Tadeusz Zak z Kielc, III — Stanisław Próboszcz z Miedzianej Góry, w dziedzinie rzeźby I — Henryk Karaś z Kozienic, II — Jerzy Krześniak również z Kozienic, III — Antoni Baran z Opoczna, w dziedzinie ceramiki (tu brali

udział kilku i kilkunastoletni wnukowie znanych twórców): II — Krystyna Moldawa z Redocina, trzecie: Feliks Armatański z Chatupek, Barbara Batugowska z Denkowa i Jarosław Rodak z Redocina, w dziedzinie kowalstwa dwie nagrody drugie: Antoni Moćko z Obiegorka i Krzysztof Solecki z Rajca w Radomskiem, przyznano też pięć wyróżnień kwiatów z Machocia.

W WIEDNIU, w Instytucie Kultury Polskiej eksponowana była wystawa „Polska fotografia krajoobrazowa 1944—1984”, przygotowana przez Okręg Świętokrzyski ZPAF i BWA w Kielcach.

PIERWSZE miejsce na tegorocznym Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie zdobył kieleczanin Konrad Materna, inny kieleczanin, Dariusz Niebudek, zdobył Srebrny Samowar, będący drugą nagrodą XXII Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

X BUSKIE SPOTKANIA z FOLKLOREM zaprezentowały 27 zespołów z województwa. Nagrodę główną im. Piotra Gana (kategoria kapel) zdobył zespół Stefana Wyczynskiego z Lubczy a równorzędne nagrody pierwsze „Tkaćwa Świętokrzyskie” z Bodzentyna oraz kapela Eugeniusza Pepasia z Debna. Pozostali laureaci: wśród zespołów obrzędowych — zespół z Marzysza, śpiewaczych — „Wolanki” z Dąbskiej Woli, solistów — Andrzej Madetko, Kazimierz Krawczyk i Franciszek Sołtysek.

„MŁODA SCENA '86” czyli I Kieleckie Prezentacje Teatralne zorganizowali: Wydział Kultury UM, Klub „Merkury” i Teatr „Gabinet Prób Generalnych 3” dając możliwość konfrontacji swojego dorobku młodzieżowemu zespołom działającym przy szkołach i placówkach kulturalnych.

WYSTAWĘ prac malarskich kieleczanina Adama Walskiego otworzyło w częstochowskim BWA. Ekspozycja trafi w sierpniu do Kielc.

SESJE „Historia poszukiwań i eksploatacji soli na ziemiach polskich”, z bardzo bogatym programem, nawiązującym szeroko do regionalnej tradycji „solnej” — zorganizowało Towarzystwo Przyjaciół Górnicstwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego w Busku, z okazji siedemsetlecia miasta i 150-lecia urodziska.

W I Ogólnopolskim Konkursie Plastycznym na Książkę dla Dzieci, zorganizowanym w Łodzi przez Stowarzyszenie Twórców Kultury, ZW TPD i PWSSP, III nagrodę otrzymał Jerzy Jarmołowicz.

BIOPOWINOWACTWO, BIORYTMY

Bielsko-Biała, skrytka 163. Prześlij datę urodzenia swoją lub partnerów.

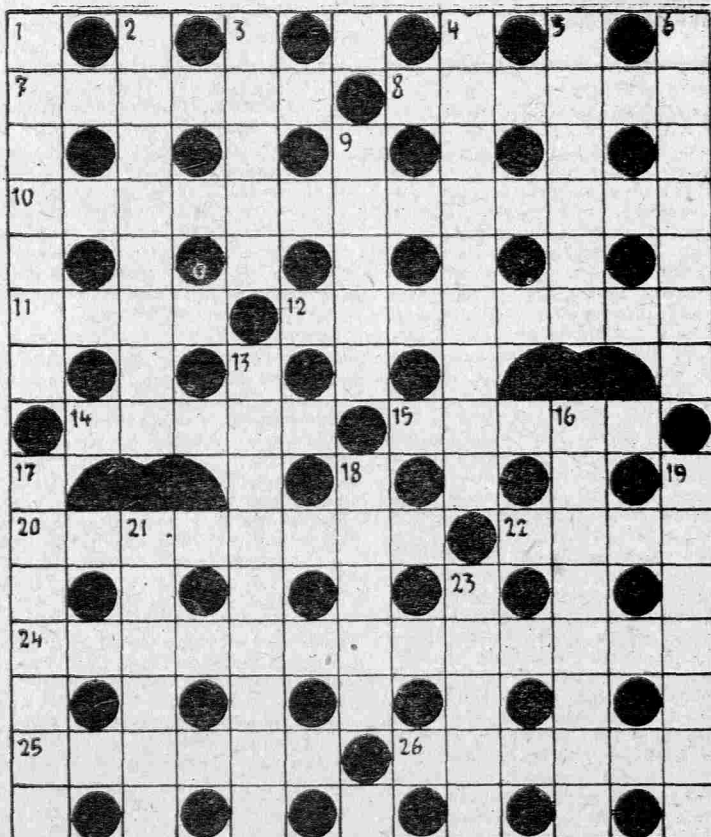
POZIOMO:

- 7) uskrzydłony nagusek
- 8) groźna w górach
- 10) świetny nowelista i dramaturg rosyjski, z zawodu lekarz
- 11) imię dowódcy frontu, który wyzwolił Kielce
- 12) portugalska nazwa urzędnika cesarskich Chin
- 14) stosowany do dezynfekcji wody i wybielania
- 15) angielska gra w karty
- 20) czarny łowca ryb na Mazurach
- 22) największa wśród Wysp Toskańskich
- 24) ogół przepisów prawnych obowiązujących w państwie
- 25) oszczep na linie
- 26) mieszkaniowy.

PIONOWO:

- 1) Bayern
- 2) kto (co) budzi grozę
- 3) chesankowa
- 4) u nas gregoriański
- 5) kosmyk włosów niesforne sterczących lub milion zjednoczonych zefirków
- 6) w r. 1549 połączyli się z zwinglianami i stworzyli kościół reformowany
- 9) część środkowa górnej połówki tuszy trzody chlewnej, a i to nie jest jeszcze określeniem precyzyjnym
- 13) egzamin na wyższej uczelni
- 16) nie posiadał gruntownie żadnej wiedzy
- 17) głęboki żal za wyrządzone zło
- 18) imię autorki trylogii „Pieśni nad wodami”
- 19) obuwie na obuwie
- 21) pisarz (1899—1970), utwory o tematyce związanej z Podhalem i Tatrami (niektóre napisane z żoną)
- 23) śpiew kosa.

Termin nadsyłania rozwiązań — 15 lipca 1986 r. Losujemy



KRZYŻÓWKA 187

500-złotowy bon oszczędnościowy PKO. Pod adresem redakcji („Przemiany”, 25-366 Kielce, ul. Śniadeckich 2), prosimy dopisać: KRZYŻÓWKA 187.

Rozwiązanie krzyżówki 186

Poziomo: apoteoza, Mazepa, Kolchida, renons, dentysta, masaż, kajakarka, Wierzynek, tra-

sa, tancerka, Batory, bukszpan, żarcie, trzeciak.

Pionowo: proteza, Tacyt, owies, Amara, szansa, opinia, Yukawa, torpeda, marzec, stan, żbik, kwit, Jura, enklawa, Riazan, Słońce, Tybet, nakaz, erzac.

NAGRODĘ (500-złotowy bon PKO) wylosowaliśmy dla Kaziemierzy Jeleń-Kłobukowskiej, ul. Szkolna 33 m. 8 25-604 Kielce.

Książki nadesłane

MICHAŁ BALARA: „Na Spiszu”. Warszawa 1986. LSW, cca 150 zł. Książka zawiera opisy oryginalnych zwyczajów i obrzędów spiskich, a także opowiadania, legendy i bajdy, częściowo pisane gwara.

ELIGIUSZ KOR-WALCZAK: „Baśnie i legendy kaski”. Przedmowę napisał Edward Polanowski. Ilustrował Mieczysław Kościelniak. Poznań 1986. Wydawnictwo Poznańskie, cena 220 zł. Zbiór zawiera 25 legend i baśni związanych tematycznie z Kaliszem i najbliższym regionem.

JADWIGA KWASNIEWSKA, KRYSZYNA MIKOŁAJCZYK: „Zbieramy ziola”. (Wydanie IV). Warszawa 1986. Wydawnictwo Akcydensowe, cena 160 zł. Książka dla początkujących zbieraczy ziół. „Klasyczna joga indyjska”, Jogasutry przypisywane Patandzalmu i Jogabhaszja czyli komentarz przypisywany Wjasie. Przełożył z sanskrytu, opatrzył przy-

pisami, napisał wstęp i posłowie oraz ułożył słownik terminów LEON CYBORGAN. Warszawa 1986. PWN („Biblioteka Klasyków Filozofii”), cena 440 zł. Książka przedstawiająca system jogi klasycznej, jego filozofię i praktykę, składa się z kilku części. Oprócz dwóch wymienionych w podtytułach traktatów filozoficznych znajdujemy tu pracę pt. „Filozofia jogi. Próba nowej interpretacji” oraz artykuł „Joga klasyczna. Filozofia i praktyka”.

LEONARDO SCIASCIA: „Zniknięcie Majorany”. Przełożyła Kazimierza Fekecz. Warszawa 1986. PAX, cena 70 zł. Minipowieść jednego z najpoczytniejszych sycylijskich pisarzy („Dzień puszczyka”), opowiada o faktach i przebiegu śledztwa, próbującego wyjaśnić przyczyny zniknięcia genialnego włoskiego fizyka, Ettore Majorany, który już w 1938 roku dostrzegł „przerażenie w garść atomów”.

ANNA ZADROŻYŃSKA: „Powtarzać czas początku”. Część I. O świętowaniu dorocznych świąt w Polsce. Warszawa 1986. Wydawnictwo Spółdzielcze („Ściana ze smokiem”), cena 155 zł. Autorka pierwszego tomu tej serii poświęconej polskim tradycjom ludowym, jest docentem w Katedrze Etnologii UW. □

Z GABINETU RYCIN MUZEUM NARODOWEGO W KIELCACH



Repr. HENRYK PIECZUL

Tak się składa, że bardzo interesujące zbiory istniejącego od 1982 roku jako samodzielny dział Muzeum Narodowego w Kielcach — Gabinetu Rycin, prowadzonego przez kustosa Wiesławę Ozdobę Kosierkiewicz, nie są zbyt znane szerszej publiczności, korzystając więc z uprzejmości właścicieli postaramy się je tutaj spopularyzować, wykorzystując mało znane prace graficzne i ryciny, mające głównie związek z naszym regionem. Na początek ze składających się z około 6000 rycin zbiorów wybraliśmy litografię przedstawiającą kielecki pałac biskupi z lat 1873—1883 wykonaną przez Alojzego Misierowicza (odbitą w zakładzie M. Fajansa) na podstawie rysunku z natury Napoleona Ordy. Napoleon Orda (1807—1883), rysownik amator i muzyk, uczestnik powstania listopadowego, uczeń francuskiego pejzażysty P. Girarda i F. Chopina, odbywał liczne podróże po kraju, których plonem było ponad tysiąc rysunków wykonanych z natury i opublikowanych częściowo w wydany przez autora „Albumie wiodków historycznych Polski”. □



EWA SAMULIK — „***”

Repr. TADEUSZ JAKUBIK

Exemplarz Obowiązkowy
w Kłobucku

UWIKŁANIA

... a przecież czerwień
powinno opisywać się
szarością słońce deszczem
maki w listopadzie
usta nocą...

Tadeusz Różewicz — „Szkice
do erotyki współczesnego)

CZESTO doceniamy wielką rolę światła w kreacjach artystycznych (w fotografii jest ono wręcz niezbędne) zwracając uwagę nie tylko na jego funkcje techniczne, ale przede wszystkim na jego metaforykę, symboliczność. Taką rolę odgrywa światło w malarstwie Ewy Samulik, której twórczość plastyczna — co podkreśla prezentowany tu

obraz — bliska jest temu, co w poetyce określa się mianem nowej prywatności, jakże dalekiej od pojętej ekspresji publicystycznej.

Ale przyznać trzeba, że idea prywatności, w tym i innych obrazach, umożliwia penetrację własnego Ja nie wyłączając kontekstu otoczenia. Wyrażając subtelną złożoność sfery emocjonalnej, E. Samulik jednocześnie monumentalizuje jej uwikłanie w bliżej nieokreślone zagrożenia. Dramaturgia obrazu jest tu wyrazem jakby nieustającego konfliktu pomiędzy biosferą i noosferą (duchowością). Ta pierwsza w związku z licznymi zagrożeniami ekologicznymi staje się bardziej czytelna. Zostało to ostatnio potwierdzone na ogólnopolskiej wystawie „Chrońmy nasze środowisko” (BWA Tarnów), gdzie praca prezentowanej autorki otrzymała nagrodę. Noosfera natomiast jest mniej czytelna dla widza, bardziej zakamuflowana w subtelnościach formy i odautorskiej intencji. Podobnie jest u wielu twórców, którzy wykorzystują swą prywatność jako materiał kreacji artystycznej niezależnie od dziedziny twórczej. □

MARIAN RUMIN